



---

# Krajobrazy Słowa

---

Pokłosie  
XXVII Konkursu Literackiego

Kędzierzyn-Koźle 2020





---

XXVII Konkurs literacki

# Krajobrazy Słowa

Antologia poezji i prozy laureatów konkursu literackiego

---

**MBP**  
KĘDZIERZYN-KOZŁE



Kędzierzyn-Koźle 2020

Honorowy Patronat



*Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle*



*Marszałka Województwa Opolskiego*

Projekt logotypu „Krajobrazy Słowa”

*Leszek Ołdak*

Opracowanie graficzne i projekt okładki

*Dariusz Herbowski*

Opracowanie redakcyjne i korekta

*Jan Andrzej Fręś*

ISBN 978-83-941650-5-5

Wydano nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej  
w Kędzierzynie-Koźlu



# SPIS TREŚCI

## **Wstęp**

Karol Maliszewski – Ekspresja kobiet i sztuka prostoty.....7

## **Antologia**

### **proza**

Anna Zborowska – godło „Gnosis” .....11

Łukasz Barys – godło „Plaster w pościeli” .....31

Justyna Strzep – godło „Scarlett” .....51

Maria Krzywda – godło „przekłuj\_balonik” .....59

Anna Siecla – godło „lavendova” .....69

Zbigniew Musiał – godło „Żak” .....77

## **poezja**

Mariola Kruszevska – godło „korek” .....	95
Monika Karbowniczek – godło „Vulpecula” .....	101
Renata Blicharz – godło „Boreasz” .....	107
Paulina Cedlrska – godło „woda_sodowa” .....	113
Dorota Nowak – godło „Amulet” .....	119



XXVII Konkurs literacki

# Krajobrazy Słowa

---

## WSTĘP

### Ekspresja kobiet i sztuka prostoty

---

Odnoszę wrażenie, dzieląc je zresztą z przewodniczącą jury, Martą Fox, że w długiej historii konkursu „Krajobrazy Słowa” to rok wyjątkowy. Wyjątkowy z dwóch co najmniej przyczyn. Pierwsza dotyczy wzrastającej energii twórczej kobiet, które w tym roku wystąpiły duża grupa, prezentując mnóstwo znakomitych tekstów. Zatem zjawisko obserwowane w Kędzierzynie-Koźlu staje się częścią o wiele szerszego fermentu kulturowego. Coraz więcej kobiet publikuje, a w ostatnich latach liczba dzieł ich autorstwa zaczyna dorównywać liczbie publikacji mężczyzn. Tak, jakby pisarki chciały zaprzeczyć tezie, że podobno nie można nadrobić zaległości związanych z nieobecnością w kulturze. A ta nieobecność, czy raczej „słaba” obecność, wynikała z uwarunkowań społecznych akcentujących kobiecą uległość i bierność, w efekcie – nieistotność. I tu widać poważne zmiany, wskazujące na wysiłek kobiet walczących o swoją podmiotowość. Utwór literacki jest tylko fragmentem rosnącej w siłę aktywności, wycinkiem większej przestrzeni artystyczno-społecznych działań kobiet.

Druga przyczyna to zdecydowane przełamanie dyktatu poezji. Ona zazwyczaj była najmocniejszą stroną kędzierzyńskiego konkursu. I nadal przychodzą interesujące propozycje, nie przeczę, lecz w tym roku przyćmiły

je znakomite utwory prozatorskie, które przysły w takiej liczbie, że aż trudno było wskazać najlepsze, nie krzywdząc pozostałych bardzo dobrych tekstów. Tak więc tegoroczny konkurs zapamiętamy na długo, choćby z tych dwóch powodów: ekspresja kobiet i rozkwit prozy.

Najpierw powiem jednak kilka słów o poezji. To też nie przypadek, że wszystkie nagrodzone i wyróżnione wiersze wyszły spod piór dziewczyn i kobiet. Przychodzi taki moment w kulturze, gdy jakiś głos staje się szczególnie słyszalny, ponieważ dojrzał do wyrazistego kształtu. Chyba jesteśmy świadkami tego momentu rozwoju kultury nie tylko w Polsce, lecz w całej środkowowschodniej Europie. I, co ciekawe, te poetki, które zwróciły naszą uwagę, nie chcą szyfrować, komplikować przekazu i popadać w hermetyzm. Omijając pułapki banału, uprawiają sztukę prostoty, opowiadając przy tym o najważniejszych sprawach w życiu człowieka, wciąż szukającego języka, by wyeksplikować to, co codzienne oraz to, co ostateczne. Dodalibyśmy: uprawiają sztukę uniwersalnej prostoty, rezygnując ze staroświeckich masek i rekwizytów przypisywanych tak zwanej „liryce kobiecej”. Nie ma już czegoś takiego, umarło śmiercią naturalną. Natomiast jest liryka kobiet, świadomych uczestniczek poetyckiej gry o swoje miejsce w literaturze i świecie. Tak odbieram i czytam utwory Marioli Kruszewskiej, Moniki Karbowniczek, Renaty Blicharz, Pauliny Cedlerskiej i Doroty Nowak.

Przy omawianiu prozy sprawa komplikuje się, gdyż głosy są jeszcze bardziej różnorodne. Obserwacja ta dotyczy tematów, ujęć oraz różnorodnych języków podjętych przez autorów i autorki nagrodzonych tekstów. Oczywiście, pozostajemy w granicach języka polskiego, lecz jak wiadomo wiele może być jego użycie i zastosowań zgodnie z wielością jego rejestrów. I na takie bogactwo trafi czytelnik niniejszej antologii, ale – uwaga! – znowu to samo, ponieważ wystąpią również: czystość tonu, klarowność przekazu, sztuka prostoty. Nie trzeba zbyt wybujałych środków ekspresji, żeby opowiedzieć świat po swojemu. Po swojemu, to znaczy w granicach swojej wrażliwości i wyobraźni, w granicach swojej c z u ł o ś c i, mówiąc językiem Olgi Tokarczuk.



Razem z Martą Fox zachwyciliśmy się narracjami wciągającymi nas w głąb swoich tajemniczych, niepojętych, a jednocześnie paradoksalnie dobrze znanych, światów. A takie znaleźliśmy, i długo nie mogliśmy się otrząsnąć z ich hipnotycznego wpływu, w utworach Anny Zborowskiej, Łukasza Barysa, Justyny Strzép, Marii Krzywdy, Zbigniewa Musiała i Anny Siecli. Teraz puściliśmy je w świat, dzieląc się przeżyciami, które powinny być dostępne wszystkim. To znaczy – tym ostatnim, którzy jeszcze czytają. Czytajcie, a znajdziecie, zaś znalazłszy, już na zawsze pozostaniecie o coś bogatsi.

Karol Maliszewski





XXVII Konkurs literacki

# Krajobrazy Słowa

---

# Anna Zborowska

godło „Gnosis”

---

**NAGRODA GŁÓWNA –  
Nagroda Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle**

## **Anna Zborowska**

Urodzona w Szczecinie, gdzie ukończyła II Liceum Ogólnokształcące im. Mieszka I. Obecnie studentka II roku dziennikarstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu na specjalizacji marketing internetowy oraz studentka I roku studiów pisarskich na Uniwersytecie Szczecińskim. Laureatka konkursów literackich, m.in. Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. Wandy Chotomskiej, Konkursu Literackiego *Bursztynowa Szuflada*, Konkursu Literackiego im. Marii Konopnickiej.

## Potwór

W moich wspomnieniach migocze pewien fragment lata, nieostry i ulotny jak refleks na rzece. Zmienia kształt w zależności od pory dnia i chwil, w których go przywołuję. Kiedy zapominam o bieżących sprawach, wychodzę na niewielki balkonik i myślę o potworze z Próchnika. Jego tajemnica wciąga mnie jak nurt rzeki niosącej jesienne liście. W Próchniku też była taka rzeka. Zdawała się rozdzielać rzeczywistość i iluzję. Iluzją była nasza wieś, a rzeczywistością – świat poza jej granicami.

Po naszej stronie rzeki czas płynął inaczej. Wiedziałam, że mija, ponieważ dostrzegałam jego skutki: przeplatankę dni i nocy, brudzące się ubrania, śmieci pojawiające się na ulicach, samochody parkujące w innych miejscach. Nie umiałam go jednak uchwycić, oszacować. Jakbym znalazła się pod narkotycznym wpływem miejsca, które przywłaszczyło sobie moje istnienie, zamroziło je niczym w bursztynowej masie.

Wakacje to okrutne kłamstwo, na które nabieram się od lat. Wpierw ciepłe dni zwodzą lenistwem i swobodą, a później odbierają mi wspomnienia o tym, jak wygląda zwykle życie. Kiedy wychodziłam na niewielki balkonik w gospodarstwie, wydawało mi się, że jestem zawieszona w pustce. Patrzyłam przed siebie, rozmawiałam z mamą przez telefon, a kiedy rozłączałam się, czułam zaniepokojenie. Iluzja nie może trwać wiecznie, za kilka tygodni się rozplynie. Będę musiała wrócić do domu.

Wiedziałam, że rodzice się rozwodzą, ale ten fakt przepływał obok mnie. Pojmowałam go intelektem, lecz nie sercem. Opowiedziałam o tym babci, a ona stwierdziła, że Polacy niepotrzebnie uważają „czucie” za coś konkretnego, a intuicję za namacalną. U Holendrów byłoby to nie do pomyslenia. Dla nich przekonania, które wynikają z emocji, należą do świata zabobonów.

– To nasza polska uroda – powiedziała. – Jesteśmy romantyczni. Goście lubią naszą emocjonalność, ale nie chcą doświadczać jej codziennie. Dlatego przyjeżdżają tutaj.

Babcia rozwieszała w ogrodzie prześcieradła, które łopotały jak ptaki schwyte w sidła.

– Romantyzm nie jest dobrym sposobem na życie. Może teraz wydaje ci się, że jest inaczej. Twojej matce też się tak wydawało. Jesteś wystarczająco duża, by to zrozumieć. To nierozsądna miłość, od początku tak mówiłam. Twoja mama raz oddała się namiętności. To był raz, który sprawił, że w jej brzuchu zaczęło kiełkować życie. Raz, przez który zdecydowała się na ślub. To piękne, że namiętność powołała cię do życia. Jednak ta sama siła może to życie niszczyć. Tak jak niszczy teraz małżeństwo twoich rodziców.

Babcia zarabiała na życie, wynajmując pokoje. Była w tym na tyle dobra, że od lat otrzymywała rezerwacje z całego świata. Jej dworek w Próchniku przyciągał zarówno rodzimych gości, jak i obcokrajowców, których zwabiła obietnica wiejskiego życia. Tym ostatnim, w przeciwieństwie do Polaków, łatwiej było dogodzić.

Na początku sierpnia zjawiły się rodziny z dziećmi – jedna spod Karpat, druga z Cichocinka. Od razu dały wyraz niezadowoleniu. W telewizji pokoje wyglądały na przytulniejsze, a łóżka na bardziej wygodne. Słuchałam ich narzekań w trakcie wycieczek po domu, które organizował przyjaciel babci. Wyjaśniał, że pasjonująca historia dworku może wynagrodzić brak udogodnień. Gdy zatrzymał się przy największym pokoju, wspomniał, że w dawnej Polsce, gdy pradziadek grał na instrumentach, w takich pomieszczeniach jego żona paliła fajkę.

Jedno z dzieci oznajmiło:

– Paliła zioła.

– Tak – odparł pan Arek – zaprosiła Maryskę i paliły... ale tytoń. Sprowadzany z Czech albo ze Słowacji...

Wtedy chłopiec doznał olśnienia i wykrzyknął:

– Z Indii!

Rozległy się śmiechy. Syn letników wskazał palcem na wysoki obiekt za oknem, ledwo widoczny przez zielenią oplatającą szybę.

– A to?

– Dom dla łódek – odparł przyjaciel babci. – Tak nazywamy garaż sąsiada.

– Wygląda jak mały zamek.

Goście spojrzeli na betonowy sześcian. Pokruszona warstwa ścian ukazywała najbardziej pierwotną tkankę budowli. Jedyne dziecięca wyobraźnia mogła dopatrzeć się w niej czegoś królewskiego.

Po kolacji zapytałam babci, czy mogą wejść do garażu. Pokręciła głową.

– Tam nie ma łódek. Ten garaż jest jak zamek, a w zamkach często mieszka potwór. Nie naruszaj jego spokoju.

Garaż nie pasował do otoczenia w takim stopniu, że wzbudzał rozdrażnienie na równi z ciekawością. Zniszczony, ale i zdeterminowany, by trwać. Być może to mnie do niego przyciągało.

Zagraniczni goście byli najbardziej pożądanymi. Przyjeżdżali z rodzinami, uzbrojeni w aparaty i telefony komórkowe, po czym informowali znajomych w mediach społecznościowych, że spędzają czas w miejscu zachwycającym odmiennością – w Polsce.

Zwykle wiedzieli o naszym kraju niewiele ponad to, co zapamiętali z zajęć historii i przeczytali w prasie. Zapytani o skojarzenia, wspominali o niedźwiedziach polarnych, nieświadomi, że zrażają do siebie miejscowych. To Polacy częściej doceniali liczne nawiązania do kultury, ukryte w wystroju rezydencji. Co któryś z gości zagajał z miną osoby wtajemniczonyj:

– To prawdziwy dworek szlachecki?

Wtedy otrzymywał wyrozumiałą odpowiedź, że w tym rejonie dworaki zaczęto budować w XX wieku. Opowieści o starszej pani palącej fajki były przekłamane. Pomieszczenie wzorowano na dawnych pokojach, ale ten dom był projektem grupy przyjaciół ze studiów. W trakcie wieloletniej pracy młodzieńczy entuzjazm wyparował i z siedmiu osób zaangażowanych

w budowę zrobiły się dwie: babcia i jej przyszły mąż. Dopiero po jego śmierci gospodarstwo zaczęło generować duże dochody.

Dworek w Próchniku zyskał rozgłos za sprawą dokumentu o rodzimym folklorze. Praca zaliczeniowa studenta filmówki, mojego kuzyna, nie zdobyła uznania promotorów z uczelni, ale po wrzuceniu na YouTube'a w ciągu czterech dni zyskała prawie pół miliona wyświetleń. Profesjonalny montaż, piękne ujęcia i interesujący temat sprawiły, że pisały o niej największe portale internetowe.

Gdy Michał został zaproszony do programu śniadaniowego, przyznał, że do ukazania polskiej tradycji ludowej zainspirowała go działalność babci. „Pokochałem Polskę nie dzięki zajęciom w szkole, ale dzięki dziadkom” – te słowa pojawiły się następnego dnia w kilku dziennikach, opatrzone komentarzem na temat systemu oświaty i jego błędach w kształtowaniu tożsamości narodowej młodych ludzi. Temat podchwyciła telewizja, co wpłynęło na popularność próchnickiego „dworku szlacheckiego” – unikatowego miejsca, w którym można spędzić czas w otoczeniu pięknej przyrody, słuchając z radia kultowych polskich utworów, oglądając ekranizacje lektur i czytając poezję patriotyczną. Słyszałam, jak babcia mówiła podczas wywiadu:

– Ludzie wracają do korzeni, do wielkich narodowych zrywów. Z tego samego powodu oglądają seriale historyczne. XXI wiek jest pusty, nudny. Brakuje w nim wartości, nad którymi można się pochylić.

Okoliczności były sprzyjające, ale nie każdy potrafiłby je przekuć w dochodowy biznes. Babci się udało. Kiedy przez jej ręce zaczęły przepływać coraz większe sumy pieniędzy, porzuciła zakład krawiecki i zwiększyła ceny za pobyt. Nawiązała również współpracę z pewnym dziennikarzem i ustaliła, że wyemituje w jego programie spot reklamowy.

– Storytelling – mówiła do sąsiada zza płotu. – Wie pan, to opowiadanie historii w reklamie. Agencja powiedziała, że dworek wygląda jak z Pana Tadeusza. Tak przedstawią go w telewizji.

– Za ile panią skasowali?

Nazywałam tego mężczyznę „Panem Smokingiem” ze względu na elegancki ubiór, który przyozdabiał go bez względu na to, czy sąsiad wracał z pracy, czy też poruszał się po domu. Wyjątkiem był ogród, lecz i wtedy Pan Smoking wydawał się nierealnie czysty, przygotowany na spojrzenia mieszkańców.

Był sołtysem Próchnika. Z babcią łączyła go obustronna sympatia, jednak nie bezinteresowna. Babcia należała do kobiet, które mogły poszczycić się rozległą siatką znajomych i brakiem prawdziwych przyjaciół. Mówiła, że przyjaciele nie odgrywają dużej roli w interesach. Zbyt często obracają się w środowiskach podobnych do naszych, przez co nie potrafią dotrzeć do ludzi z innych kręgów.

Babcia krążyła wokół każdego mieszkańca Próchnika: piła herbatki z księdzem, plotkowała z Kobusińską, odwiedzała Rożka. Była okiem Pana Smokinga. Tworzyła świat, który obejmował wszystkie inne światy, lecz ich nie wiązał ze sobą.

Tego wieczoru, gdy siedziałam w pokoju na drugim piętrze, słyszałam przez otwarte okno, jak babcia zdaje relację Panu Smokingowi. Mieszkańcy są wdzięczni za wyremontowanie wiejskiej świetlicy. Chcieliby, aby stworzono obwodnicę, która połączy węzły komunikacyjne Próchnik – Załom. Pan Smoking kiwał głową i co kilka chwil zerkał na swojego syna. Jeremiasz kopał piłkę i uderzał nią o płot, co najwidoczniej go irytowało. Zapropozował chłopcu, by pobawił się z „tą uroczą dziewczynką, Weroniką”. „Ona jest dziwna” – odparł wzmocniony przez mutację głos.

Kiedy Jeremiasz zniknął z pola widzenia, babcia z Panem Smokingiem zmarszczyli czoła. Wymienili szeptem uwagi, aż sąsiad powiedział:

– Można pozbyć się kłódki. Myślisz, Sabinko, że ktokolwiek się tam zbliży, jeżeli nie jest głupcem?

– A mało mamy głupców w okolicy? – spytała babcia.

Przymknęłam okno, kiedy Jeremiasz wszedł do pokoju. Stał na środku i zmarszczył nos. Zawsze patrzył na mnie tak samo: pogardliwie. To spojrzenie nie dzieliło ludzi na lepszych i gorszych. Wszyscy byli tymi gorszymi.



– Co rysujesz? – spytał.

– Potwora.

Hangar był prezentem z niespodzianką. Mógł skrywać cokolwiek. Wyobraziłam sobie monstrum miotające się w pomieszczeniu, szukające szpary, by przecisnąć się na zewnątrz.

Jeremiasz przyjrzał się pracy i oznajmił:

– Źle to robisz. Potwór powinien mieć dwie głowy i żółte oczy, i większe zęby.

– Widziałeś go?

– Tata mi opowiadał.

– To dlaczego go nie zabije?

– Potwór też ma prawo do życia. Nie jest potworem z wyboru, co nie?

– Może jest.

Jeremiasz popukał się w skroń. Ten gest upodobił go do Pana Smokinga.

– Pomyśl. Widocznie nie można go zabić. To byłoby za proste. Przecież nie trzymaliby potwora w roli zwierzątka domowego.

Co do jednego przyznałam mu rację. Nie potrafiłam narysować potwora. Roztarłam akwarelowe kontury do przesady, jak gdyby rozciągając linie, mogłabym rozciągnąć możliwości interpretacji jego wyglądu.

Każdy kolejny dzień spychał mnie kilka kroków w głąb morza roślin. Każdego wieczora wydłubywałam z ubrań rzepy z zamiarem, że następnego ranka bardziej zbliżę się do hangaru. Czasem towarzyszył mi syn polskich gości – ten sam, który wspomniał o indyjskim pochodzeniu ziół. Dowiedziałam się, że ma na imię Czarek i razem z ojcem podróżuje w wakacje na rowkach. Przejechali na nich ponad sto kilometrów. Rozkazałam czterolatкови: „Obserwuj”, chociaż nie wiedziałam, do czego odnosiła się ta wskazówka.

On pierwszy dostrzegł, że kłódka zniknęła. Powiedział mi o tym. To był piątek trzynastego sierpnia. Dziesięć dni po tym, jak dowiedziałam się o istnieniu potwora.

Wyszłam na balkon i wspięłam się na balustradę. Babcia mi tego zabraniała, ale lubiłam balansować na krawędzi zagrożenia. Zaciskałam dłońmi metalową obręcz, trzymałam nimi ciężar swojego życia.

Ogarnęłam wzrokiem Próchnik. Przyroda wdzięcznie mieszała się z cywilizacją: wścibsko zaglądała w okiennice domostw, wpuszczała zielone pędy do pokoi, ciągnęła nogawki mieszkańców pszczykami ramionami.

Pomyślałam, że szkoda mi potwora, skoro musi siedzieć bezustannie w ciemnościach. Zaraz jednak druga myśl wyparła pierwszą i przypomniała, że to w końcu potwór. Nie bez powodu jest uwięziony.

Wiedziałam, że prawdopodobnie jestem w błędzie. Hangar może się w każdej chwili zawalić i dlatego babcia wymyśliła historyjkę: by trzymać mnie z dala od ruin. Z jakiegoś powodu robiło mi się wtedy przykro. Brak potwora oznaczał brak mojej misji.

Wolałam wyobrazić sobie, że potwór istnieje i wcale nie jest taki zły. Rozumiałam, co czuł. Sama mogłabym być potworem uwięzionym w hangarze. Niekiedy ta myśl wydawała się realna. W chwilach przynębiania stawała się jedyną słuszną interpretacją tej opowieści.

„Ciekawe, czy potwór chciałby się ze mną zaprzyjaźnić” – pomyślałam, zesłam z balustrady i wróciłam do pokoju.

„Ciekawe, czy ty chciałabyś się z nim zaprzyjaźnić, w końcu to potwór” – ta myśl skradła mój spokój, kiedy zamykałam drzwi od balkonu.

Okazja, by wymknąć się do budynku, przytrafiła się w niedzielę. Babcia zwoływała gości do salonu. Letnicy zaklaskali, gdy na ekranie telewizora pojawiła się młoda prezenterka z włosami spiętymi w kucyk. Uśmiechała się na tle naszej rezydencji.

– Wypoczynek w miejscu, w którym czuje się romantycznego ducha? Jestem na tak! Niezapomniany pobyt oferuje dom w Próchniku, ochrzczony przez licznych wielbicieli mianem współczesnego Soplicowa.

Dziennikarka rozejrzała się, by podkreślić zachwyt nad otoczeniem, po czym oznajmiła:

– Próchnik to zadziwiająca miejscowość. W ciągu kilku lat dochody lokalnych przedsiębiorców poszybowały w górę o ponad trzydzieści procent. Dziś przeciętna wieś nie leży daleko od szosy. Więcej: większość rodzin z Próchnika nie zajmuje się rolnictwem. Można znaleźć przyjemniejszy sposób na zarabianie pieniędzy, na przykład... prowadzić gospodarstwo agroturystyczne.

W kadrze pojawił się pan Arek z mikrofonem podstawionym pod kołnierz.

– Zapominamy o korzeniach – powiedział. – Nasi zagraniczni goście uwielbiają polską kulturę. Przyjeżdżają przede wszystkim dla niej. Nie dla bajecznych widoków, nie dla odpoczynku. Dla kultury. Powinniśmy być z niej dumni.

Po ekranie wirowały folkowe wzory, koronka na blacie, a dziewczęta ubrane w ludowe stroje tańczyły poloneza. W tle pobrzmiwał fragment z Mickiewicza: Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem... W kadrze pojawiła się babcia ubrana w koszulę w regionalne wzory.

– Pani Sabina. Bujanie w obłokach umie pogodzić z praktycznością potrzebną do prowadzenia firmy. Jak określiłaby pani tę działalność?

Babcia odpowiedziała z uśmiechem:

– Piękna, wartościowa misja.

Oderwałam wzrok od telewizora. Spojrzałam na zastygłe w oczekiwaniu twarze gości. Jeden z nich krzyknął do mnie:

– Masz szczęście, że tutaj mieszkasz, wszyscy mamy szczęście!

Kiwałam głową. Wymknęłam się z pokoju, starannie zamknęłam drzwi i ruszyłam w stronę domku z łódkami. Niebo falowało od gorąca, kiedy przedzierałam się przez trawy, chwasty, pokrzywy i babie lato. Jego kleiste nici ciągnęły się jak strzępki zwiewnych szat.

Hangar chciał mnie pochłonąć. Od dawna do niego należałam, łączyła nas tajemnicza więź. Czego się bałam? Potwora, kary od babci czy ujrzania rzeczywistości?

Dotknęłam drewnianych drzwi. Nim do mojej głowy napłynęły ostrzegawcze myśli, otworzyłam je na oścież i zamknęłam się od środka. W pomieszczeniu panowała ciemność tak gęsta, że niczego nie widziałam. Poczulałam woń, która kojarzyła mi się z nieodkurzanym mieszkaniem starszych ludzi. Stałam bez ruchu kilka chwil, nim dobiegł mnie głos:

– Wcześniej przybyliście.

Ze zdumienia prawie straciłam równowagę. Nie spodziewałam się usłyszeć człowieka. Rozchyliłam suche usta, by wciągnąć powietrze.

Głos znowu się odezwał – ochrypli, ale głęboki:

– Masz lekkie kroki i inny zapach. Kim jesteś? Przyszedłeś mnie zabić?

– Nie – zaczęłam i na tym też skończyłam.

Nieznajomy umilkł, równie zdziwiony co ja. To mnie ośmieliło.

– Jesteś potworem?

Im dalej posuwałam się naprzód, tym mniej widziałam.

– Nie podchodź, drogie dziecko. Naprawdę, nie zbliżaj się – rzekł głos z pewną pobłażliwością. – Młoda jesteś, ciekawe, jak się tu dostałaś.

Nie mogłam znaleźć żadnego punktu odniesienia, dlatego tkwiłam wyprostowana, z twarzą skierowaną w głąb pomieszczenia.

– Szukam potwora. Jesteś potworem? Zabijesz mnie?

– Nie, czemu miałbym? Nie zabiję cię...

W tym momencie natłok emocji okazał się zbyt duży. Rozpłakałam się. Postać zamilkła, po czym odchrząknęła.

– Jak ci na imię?

– Weronika. Mam podać nazwisko?

– Imię wystarczy. Weroniko, gdy stąd wyjdiesz, poproś mamę, by zabrała cię do lekarza. Możliwe, że wykryją jakąś chorobę.

– Chorobę? – Przeraziłam się. – Jesteś chory i dlatego nie wychodzisz na zewnątrz?

Szamotał się w ciemności.

– Nie jestem chory. Nigdy nie byłem.

– Więc dlaczego miałabym być chora?

Usłyszałam szurnięcie na lewo ode mnie.

– Im dłużej rozmawiamy, tym większe niebezpieczeństwo nad tobą wisi. Nie zrozumiesz tego. Przynoszę pecha, odkąd się urodziłem. Zaczęło się od tego, że mama zmarła zaraz po wydaniu mnie na świat. Teraz spływaj, dziewczynko.

– Przykro mi. To... – szukałam odpowiedniego słowa – przygnębiające.

– Nie bardziej niż pozostałe rzeczy, które się potem działy. Wynos się. Nie chcę współczucia.

– Dlaczego jesteś potworem?

Usłyszałam pełne irytacji westchnienie.

– Nie jestem do końca normalny. Mam władzę nad rzeczami, nad którymi zwyczajny człowiek nie ma. Nie będę o tym mówił małemu dziecku.

– Powiedz. Nie jestem mała.

Potwór prychnął zniecierpliwiony i naszła mnie myśl, że nie powinienam go drażnić. Zaraz jednak ciągnął:

– Chcesz wiedzieć? Proszę bardzo. Od zawsze powodowałem nieszczęścia. Mój tata umarł na raka. Sąsiadka, która mi pomogła, wpadła w depresję. Kolega, z którym zacząłem się przyjaźnić, zaginął bez wieści. Ktokolwiek miał ze mną dłuższy kontakt, prędzej czy później zapadał w nałóg, umierał albo cierpiał...

– Jak cierpiał? – chciałam uściślić, ale on ciągnął:

– Uprawy wysychały. Zdarzały się wypadki. Tylko przez to, że mieszkałem w jednym z domów. Nie miałem wpływu na śmierć, którą siałem. To nie przypadek, zła karma ani fatum: moje narodzenie się jest destrukcyjną bronią. Nie mam prawa żyć, dlatego jestem odizolowany.

– Przecież to nie twoja wina.

Zaśmiał się. Był to szczery śmiech, jakby bawiła go moja naiwność.

– Szczęście wielu ludzi jest ważniejsze od szczęścia jednostki. Wolałem chociaż raz przysłużyć się światu, niż dalej go niszczyć. Parę dni przed zamknięciem postanowiłem się zabić. Ta decyzja dojrzewała we mnie od lat. Wyszedłem po raz ostatni przejść się na spacer. Tego dnia Próchnik po

raz pierwszy od wielu dni nawiedziła ładna pogoda. Na skraju załamania szedłem między domami, a dwójka dzieci z sąsiedztwa wyzdrowiała. Graniczyło to z cudem. Rozumiesz już?

– Nie.

Westchnięcie poniosło się echem.

– Mój ból leczy innych. Uśmiechem albo dobrym nastrojem mogę spowodować epidemię. Katastrofę. Klęskę. Trzymają mnie tu w jednym celu. Zasięg zarówno szczęścia, jak i nieszczęścia jest daleki. Jeżeli czuję się samotny, ktoś właśnie wygrywa fortunę albo rodzi zdrowe dziecko. Zgodziłem się na wykorzystanie tej przypadłości. Nie możesz tego zobaczyć, ale nie ma tutaj żadnych ostrych przedmiotów. Mieszkańcy nie chcą, żebym podciął sobie żyły, co nieraz chciałem zrobić. Moje istnienie jest dla nich opłaczalne. Kiedy darłem paznokciami po ścianach, biznesmeni wypłacili biednej rodzinie środki do życia. Dwadzieścia osób uniknęło śmierci podczas wypadku. Akceptuję takie życie, jeżeli pomagam innym. Kiedyś, kiedy uznam, że dalej nie dam rady, zakończę je. Znajdę sposób.

– Mogę cię zobaczyć?

– Nie – odparł ostro. – Jestem przyzwyczajony do ciemności i widzę cię doskonale, a ty mnie nie. Niech tak pozostanie. Nie zbliżaj się. Idź już.

Niezdecydowana przystępowałam z nogi na nogę.

– Jak masz na imię?

– Imię nie jest ważne. Oficjalnie nie żyję od wielu lat. Odwiedź kiedyś z rodzicami cmentarz, może znajdziesz fałszywy nagrobek. Nie ma ich tam wiele. Według dokumentów zmarłem w wieku dziewiętnastu lat. Obyś ty żyła dłużej. Żałuję, że z tobą rozmawiam. Lubię rozmawiać, ale to wiąże się dla mnie z poczuciem szczęścia, dlatego może wywołać jakieś nieszczęście w okolicy...

– Jestem zdrowa – zapewniłam i uśmiechnęłam się blade. – Miło cię było wysłuchać. Wyglądasz na samotnego.

– Cierpię w imię lepszej sprawy. To bardziej optymistyczne niż cierpienie bez sensu, czego doświadcza wielu ludzi. A teraz precz mi z oczu. Nie

mów, gdzie byłaś. Pamiętaj o lekarzu. Tak, lekarza odwiedź w pierwszej kolejności. Uważaj na siebie. I na samochody. Nie chcę, żebyś umarła przeze mnie pod kołami.

- Jutro znowu przyjdę – zapewniłam.
- Nie przychodź. Wracaj do domu.

Maszerowałam w stronę dworku nieprzytomnie, jakby wyższa siła dyrygowała tymi ruchami. Bezchmurne niebo zaczęło zbierać szarości, które nawijały się na sklepienie jak na włóczkę. Zanim weszłam do gospodarstwa, lunął deszcz.

Poszłam do kuchni i zrobiłam kanapki. Myślałam o tym, że nie każdy poświęciłby własne szczęście dla szczęścia innych jak człowiek z hangaru. Ile lat tkwił tam, gdzie dzień miesza się z nocą, a czas ciągnie się niczym długa nić?

Kiedy weszłam do pokoju, zobaczyłam, że babcia leży na ziemi. Ta chwila zachowała się w mojej pamięci wyraźniej niż moment, w którym wybiegłam na zewnątrz. Przekrzykiwałam szum kropel, wołałam pana Arka, a on zadzwonił po lekarza.

Wygląd potwora w mojej wyobraźni zmieniał się w zależności od pragnień i humoru. Jego tożsamość płynnie przechodziła z jednej formy w drugą i to było najwspanialsze: nie miałam potrzeby poznać prawdziwego potwora. Wystarczyło mi karmienie się samym wyobrażeniem, pyszną świadomością, że ten człowiek istnieje, ma określony wygląd, twarz, na której odbijają się emocje. Może kiedyś spotkamy się w świetle dnia, a wtedy przekonam się, czy któraś z moich wymyślonych wersji jest prawdziwa.

Czasem wydawało mi się, że potwór chce zmniejszyć dystans i przysiąść się bliżej, ale się powstrzymywał. Co do jednego był pewny: nie może przestać trzymać emocji na wodzy.

– Ostatnio w mój balkon uderzył wróbel i zdechł – oznajmiłam. – Trzy razy.

– Trzy razy zdechł?

– Nie, trzy razy wróble uderzyły w okno.

– To przeze mnie. Zwierzęta zaczęły reagować. Jak się miewa twoja babcia?

– Okej – odparłam. – Jest cukrzykiem. Wtedy zapomniała zastrzyku. To nie miało związku z tobą.

– Oczywiście, że miało. Nie rozumiesz? Wczoraj śniło mi się, że umarłam. Zabijam cię.

– Bzdury – powiedziałam z udawaną pewnością siebie.

Codziennie przypominał mi o zagrożeniach związanych ze znajomością, lecz tym razem dodał:

– Nie wiem, co zrobię, jeżeli coś ci się stanie.

Pokręciłam głową.

– Nic mi nie będzie. Lato to piękna pora roku. Może dlatego tak szybko mija. Pozostałe są zimne i ponure. Nie można się wysypiać, robić tego, na co ma się ochotę. Wakacje to kłamstwo. Są zbyt szczęśliwe. Odbierają wspomnienia o tym, jak wygląda prawdziwe życie.

Potwór milczał. Pewnie zastanawiał się nad czymś, czego nie chciał mi zdradzić. Często tak robił, dodając, że „ktoś taki jak ja nie mógłby zrozumieć jego osobistych tragedii”. Z niedaleka dobiegły nas odgłosy samochodów, które przez kilka sekund wypełniły ciszę. Później przejechała karetka. Motor. Dźwięki oddaliły się, ale nie ustawały. Potwór je lekceważył. Był przyzwyczajony do hałasów ulic. One wypełniały jego życie w większym stopniu niż obrazy.

Odezwał się monotonnym, cichym głosem:

– Pory roku? Przestałem ich doświadczać. W tym pomieszczeniu niczego nie ma. Pustka. Zaczynam zapominać, czym jest czas. Rosną mi włosy, broda, odczuwam głód. To znak, że przechodzą z jednego stanu w inny, ale co ma z tym wspólnego czas? Nie wiem. Może dlatego, że nie mam przyszłości.

– Daj spokój. Lepiej przejdź się ze mną na spacer.

– Spacer?



- Poczulbyś się lepiej.
- Wiesz, że nie mogę. Jestem uwięziony.

Podeszłam do drzwi i otworzyłam je na oścież. Promienie wślizgnęły się do środka jak żmije. Potwór odskoczył. Schował się w rogu pomieszczenia. Pierwszy raz zamajaczył mi przed oczami jego cień.

Krzyk złał się z trzaśnięciem drzwi. Nieludzki krzyk. Krzyk potwora. Znieruchomiałam. Niczym w śnie, z którego nie można się obudzić, trzęsłam się i czekałam, aż ta chwila minie.

Wiatr, jakby wezwany zakłębem, pchnął drzwi do środka. Odciął nas od dopływu światła i powietrza. Znów byliśmy otoczeni ciemnością, dzięki której tak dobrze się rozumieliśmy.

Odzyskałam władzę w nogach. Zrobiłam kilka kroków i powiedziałam:

– Możesz przejść się na spacer. Nikt tego nie zauważy. Możesz uciec. Pomogłabym ci uciec.

Potwór spytał:

- Dlaczego nie ma kłódki?
- Nie wiem. Zdjęli ją.
- Oczywiście. Musieli uznać, że tak będzie łatwiej.
- Co łatwiej?

– Dostarczać mi jedzenie. Krótszy kontakt ze mną. Mniejsza szansa, że coś się stanie. To musiał być powód, prawda?

Jego buty szurały po twardym jak wycieraczka dywanie. Chrobot przypominał odgłos ciągniętego po ziemi jaszczurzego ogona.

– To nic nie da. To się nigdy nie zmieni. Powinienem był się wtedy zabić.

Zaczął się do mnie zbliżać. Mogłam zobaczyć zarys jego postaci, wzrost, poczuć zapach potu.

– Dawno utraciłem prawdziwą wolność. Ta zewnętrzna niczego nie zmienia. Jesteś w stanie to zrozumieć?

Dotknął palcem mojego czoła. Wstrzymałam oddech. Dostrzegłam jego twarz. Dopiero wtedy kiwnęłam głową. Chyba wiedziałam, co ma na myśli.

Gdy wyszłam z hangaru, spjrzałam na niebo, które dotykało domów i ulic, tuliło się do chmur. Padał delikatny deszcz. Bębnił czule o chodnikowe płyty, lecz również o szybę samochodu na podjeździe.

Na usypanym ze żwiru parkingu dla gości stała czerwona toyota taty. Pobiełam do drzwi i wykrzyknęłam:

– Wróciliście wcześniej?

Usłyszałam stłumione rozmowy. Weszłam w głąb domu, do sypialni. Mama, z rozmazanym makijażem, objęła mnie. Kurtyną włosów zasłoniła widok łóżka.

– Babcia umarła – powiedziała.

Ledwie wyszliśmy w trójkę do ogrodu, otoczyli nas obcokrajowcy. Pytali, czy mogą dokończyć pobyt. W powietrzu wirowały strzępki słów w kilku językach.

Mama się nie zgodziła. Krzyczała, że zwróci im pieniądze za pobyt, pieniądze, wszyscy mówią w kółko o pieniądzach, ale tata przytrzymał ją za ramię i oznajmił, że oczywiście, niech letnicy zostaną w dworku do końca sierpnia.

Pan Smoking był zdziwiony, bo babcia wyglądała na pełną energii. Zaoferował pomoc. Kiedy byliśmy w samochodzie, mama stwierdziła, że wyglądał jak diabeł we fraku, który przyszedł po zmarłą duszę. Tata odpowiedział, że chociaż do anioła mu daleko, to przynajmniej dobrze zatroszczy się o dworek przez kilka tygodni.

W połowie drogi, kiedy moja głowa opadła na szybę, a sen zmaćcił powieki, przypomniałam sobie o czymś ważnym. Oznajmiłam:

– On nie wie, że wszystko ze mną dobrze.

Mama myślała, że mówię o Jeremiaszu, dlatego odparła:

– Rodzice mu powiedzą. Spieszymy się.

– Muszę wrócić. Na pogrzeb...

– Pogrzeb odbędzie się w Szczecinie.

– Muszę odwiedzić potwora.

– Potwora? – spytał tata. – Aż tak ci dokuczał ten chłopiec?

Nie odpowiedziałam. Śledziłam wzrokiem samochodu oddalające się wiejską drogą i nie rozumiałam, dlaczego nie mogę płakać. Żałowałam babci, żałowałam straconych spotkań z potworem i tego, że czas w dworku nie wróci.

Rzeczywistość wyparła wspomnienia o wsi. Byłam dzieckiem, szybko zapominałam. W innym mieście towarzyszyły mi inne myśli, problemy, wspomnienia.

Więcej spraw zajmowało moją mamę. Wiedziała, że gospodarstwo to baza noclegowa, która oferuje formę wypoczynku zbliżoną do warunków wiejskich. Dyskutowała z cicią przez telefon o formalnościach.

– Gówno się znam na hotelarstwie – oznajmiła. – Ile płaci się podatku? Jakie są wymagania sanitarne? Na jakich stronach reklamowała się nasza matka? Czy muszę być rolnikiem, by to prowadzić? To gospodarstwo rolne?

Chodziła nerwowo po balkonie, aż nagle tupnęła ze złości nogą.

– Dość tego! Spędziłam tam pół mojej młodości. Brakuje mi czasu, by się, za przeproszeniem, wysrać, a tym bardziej, by zajmować się tym, gdzie srają obcokrajowcy. Słuchaj, a może twój Michałek? Wiem, to artysta, ale przecież tak go inspirował folklor... Aha. To co robić? Sprzedać?

Wysłuchiwała siostry i roześmiała się.

– Poważnie? Zanim Wercia dorośnie, ta rudera się rozwali... Matka wykupiła w telewizji reklamę. Zapłaciła śmieszne pieniądze, bo jakaś wytwórnia i tak chciała zrobić reportaż. O dworku szlacheckim, wyobrażasz sobie! Telefon dzwoni kilka razy w ciągu godziny. Goście pytają o noclegi, o pobyty, wycieczki, spotkania biznesowe, cuda na kiju... Tak, teraz jest moda na spotkania biznesowe w chałupach śmierdzących gównem. Świat zwariował!

Zrozumiałam z tych rozmów jedno. Dokumentacja związana z dworkiem była na tyle skomplikowana, że mama zdecydowała się porozmawiać z Panem Smokingiem, który znał bliżej działalność babci. Jako prawnik mógł zwrócić uwagę na istotne szczegóły.

Cieszyłam się, że wróciliśmy do Próchnika. Kiedy patrzyłam przez okno samochodu, odnosiłam wrażenie, że czas nie upłynął.

Spotkanie z Panem Smokingiem trwało długo. Zostaliśmy zmuszeni z Jeremiaszem do zabawy w ogrodzie. Znałam ten scenariusz: kiedy dorosli się spotykali, zakładano, że ich dzieci z chęcią spędzą ze sobą czas. Nie mieliśmy wyjścia. Graliśmy w dwuosobowego zbijaka, który w tak okrojonym składzie nie był szczególnie zajmujący.

Zdecydowałam się poruszyć temat potwora, chłopiec wyglądał na zaskoczonego.

– Ten z hangaru? To była bajka.

– Widziałam go.

– Co jeszcze, wymyślaczko?

Otworzyłam furtkę i oznajmiłam:

– Idę tam. Przekaż mamie, że zaraz wrócę.

Jeremiasz wzruszył ramionami. Rzucił na odchodnym:

– Oby cię nic nie pożarło po drodze.

Nie trzeba było pożarów i wojen, by zniszczyć hangar. Wystarczyło go zaniedbać. Tego typu obiekty starzały się równie niewdzięcznie jak ludzie.

Zanim weszłam do środka, przeczuwałam, że coś się zmieniło. Drzwi były uchylone, a pokój pusty. Jasność wydobyła z garażu szczegóły, które wcześniej skryły się pod całunem ciemności – kanapę, spalone książki, strzępki gazet, parę starych butów.

Potwór zniknął. Wdychałam zapach pomieszczenia, zapach jego minionej obecności. Wysłałam na zewnątrz.

Niebo było przejrzyste i bezchmurne.

Wsiadłam do samochodu, podczas gdy mama żegnała ostatnich letników. Robiła to z nietypowym dla siebie profesjonalizmem. Najwiśdoczniej cieszyła się, że wynajmie ludzi do sprzątania i uwolni się od telefonów gości, którzy pytali, co robić, kiedy nie działa kran albo gdy woda jest brązowa.

Obcokrajowcy żegnali się wylewnie, obiecywali, że wrócą, ale mama z uśmiechem zwracała uwagę, że prawdopodobnie nie będzie takiej możliwości.

Gospodarstwo i hangar. Odmienne obiekty, ale pasujące do Próchnika. Kiedy dowiedziałam się o potworze, przyjęcie do wiadomości jego istnienia wydawało mi się naturalną kolejną rzeczą. Potwór stanowił część baśniowego świata, w którym stoi dworek szlachecki, a obcokrajowcy recytują łamaną polszczyzną romantyczne dzieła.

Goście machali zza szyby. Jeden z chłopców próbował zwrócić moją uwagę. To był Czarek. Pokazałam mu na migi, że nie słyszę. Wyobraziłam sobie, że kiedy mama wróci, powiem do niej:

„Może przejmę w przyszłości działalność babci? Dlaczego nie? Chciałabym, by moje wakacje trwały przez cały rok. Mieszkałabym w pięknej rezydencji. Czytałabym lektury i oglądała wybitne filmy. Tworzyłabym iluzję dla ludzi, którzy jej potrzebują”.

Mama usiadła w samochodzie i z westchnieniem położyła ręce na kierownicy.

– Dobrze, że to koniec.

– O co chodziło temu chłopcu?

Wskazała niedbałym ruchem dłoni na hangar.

– Dzieciak kazał ci przekazać, że ktoś stamtąd wyszedł. To tyle. Podobno w coś się bawiliście.

Deszcz stukał delikatnie o szybę, kiedy minęłyśmy sztyl Próchnika. Ostatnie wakacje w dworku dobiegły końca.





XXVII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

---

# Łukasz Barys

godło „Plaster w pościeli”

---

**I NAGRODA w dziedzinie prozy**

## **Łukasz Barys**

Student Uniwersytetu Łódzkiego, laureat konkursów poetyckich i literackich, m.in. Grand Prix konkursu im. Reinera Marii Rilkego, konkursu *O Laur Czerwonej Róży*. Publikował w gdańskim piśmie „Autograf” i w antologiach pokonkursowych oraz na stronach internetowych.

## Nie widać księżyc

Mamusia poleciła mi, bym zapisał się do ministrantów, ponieważ zbliża się koniec świata i pozostała nam wyłącznie modlitwa. Odtąd służyłem do mszy pośród podobnych do mnie chłopaków. Mieliśmy bielutkie komeżki, ale twarze i dłonie czarne od węgla. Nadszedł sezon grzewczy, więc księżyc zniknął za gęstym zwaliskiem pyłu. W ramach nagrody pocieszenia osiedle otrzymało woskową dziewicę, do której trzeba było modlić się na spoconym różańcu. Woskowa dziewica stała przed ołtarzem i rzucała ludziom w twarze blask, mimochodem przypominając o zagrabionych ciachach: wszystkich innych oraz tych niebieskich.

Przed mszą rozmawialiśmy, bo kadzidło nie chciało się rozpaść. Małeńki Tomasz podniósł węgielek do ust i dmuchał z całych sił. Iskra spadła z czarnego krążka na komeżkę i wypaliła dziurę na palec. Małeńki Tomasz wsadził palec i torował sobie drogę przez stopione nitki. Powiedział, że odebrał dziewictwo koleżance i każda kobieta musi stracić cnotę, jeśli chce urodzić dzieciątko. Było mi wstyd za mamusię, bo siedziała w pierwszej ławce. Kruk patrzył na nią przez całą mszę.

– Mamusia stała się bardzo pobożna – powiedział mi któregoś dnia.

Kruk nie wiedział, że mamusia zobaczyła oczami głowy koniec świata i modli się na zapas. Kruk sądził, że świat jest w dobrych rękach i wszystko będzie dobrze, ponieważ tak mu napisali biskupi w listach, które czytał zamiast kazania.

Mamusia przejmowała się znakami, bo codziennie widziała nowe. Posiadała dostęp do innego porządku, dlatego w domu mieliśmy brudno. Nie chciała się tym porządkiem dzielić, żeby nie mieszać mi w głowie. Wystarczyło, że ona miała głowę w strzępach, głowę niczym kopalnię po wybuchu i tysiąc osmalonych górników we włosach i na rzęsach. Żelazne uściski na skroniach odebrały mamusi szczęście. Bolało, ponieważ chmura nad miastem, trucizna, pył. Mamusia siadała przy oknie i paliła papierosa.



Nie zaszkodzi, tym bardziej że. Patrzyła innym ludziom w życie, ale oni mieli firanki.

– To nie wystarczy, by osłonić usta i płuca – mawiała mamusia. – Zakładacie koronki, gdy potrzebne są maski.

Wycięli nam na ulicy drzewa. Wyprowadziły się ptaki. Powiesił się syn sąsiada. Mamusia uwierzyła w woskową dziewicę.

\*

Palacz mieszkał pod zakrystią. W podziemiach rósł piec, który miał blaszane usta. Palacz otwierał te usta i karmił piec węglem. Sam również jadł węgiel, ponieważ na nic innego nie miał pieniędzy. W końcu odzwyczaił się od chleba, ale nie samym chlebem żyje człowiek. Jego skóra przybrała brunatną barwę, wypadły mu zęby. Palacz był szczęśliwy, ponieważ dawniej mieszkał na ulicy i zamarzłby, gdyby Kruk nie otworzył mu drzwi. Kruk powiedział, że mróz i śnieg muszą zniknąć, wtedy ulice będą przejezdne i więcej ludzi przyjdzie do kościoła. Palacz był szczęśliwy, że rozgrzewa siebie i cały świat przy okazji, że przysługuje się ogółowi, który oszczędza na puchowych kurtkach i zimowych oponach.

Pewnego styczniowego dnia palacz zaprosił nas do jamy. Zauważył, że nie mamy gdzie wypić wódki, którą przyniósł małeńki Tomasz. Uchylił drzwi i wystawił brudną twarz. Ze środka biło gorąco, mróz na framudze skroplił się w pot. Palacz patrzył na nas i tęsknił, ale puchła nam ciemność, komże wystawały spod kurtek. Patrzyliśmy po sobie. Małeńki Tomasz chciał zejść, ale kilku z nas myślało o swoich matkach i brudzie, więc ociąganie trwało w poprzek mrozu, zakrystii i ukradzionej skądś butelki.

– Sam obalę fłaszczę z palaczem, jeśli się boicie – powiedział małeńki Tomasz.

Przestraszyłem się, że kiedy Tomasz zaśnie, palacz upchnie go w piecu. Zawsze po wódce odpływał, ponieważ miał chude kości, cienkie i srebrzyste niczym rybie łuski. Postanowiliśmy, że w grupie siła, najwyżej spalimy

palacza w obronie własnej. Usiłowałem zapomnieć, co mówiła mamusia: żebym nie chodził pod kościół, bo płonie pod nim jądro albo piekło.

Piec był ogromny i świecił na czerwono. Wiedzieliśmy, że patrzy nam na plecy, chociaż krył się w ciemności jak nożownik. Palacz usiadł na odwróconym denku wiadra i śmiał się z nas. Staliśmy w kręgu i podawaliśmy sobie wódkę. Paliła mnie w usta, język i strach przed uduszeniem się w ciemności albo śladem na zawsze. Jama pod zakrystią zwęziła się do rozmiaru żrenicy palacza. Było mi ciasno i gorąco, chciałem otrząsnąć się z ciała, ale ciało lepiło się do kości niczym przekłuty balon. Palacz śmiał się i mówił, że kazałby porąbać mu drewno, ale boi się o nasze palce. Wołałem zachować palce dla mamy, chociaż komżę miałem już czarną i wiedziałem, że będzie zła. Piec mruczył oczy. Był rozbawiony albo zły. Palacz otworzył mu buzię i zostawił otwartą. Nakarmił piec węglem. Piec był szczęśliwy i polizał swojego pana języczkiem ognia. Piec był dobrym psem.

Idąc do nieba, spływałem potem. Objąłem się o ściany, ale nie zobaczyłem gwiazd, tylko ciemną chmurę i ciemniejszą jeszcze wieżę kościoła. To było smutne, ale prawdziwe. Komżę miałem także ciemną, może najbardziej ze wszystkiego.

Maleńki Tomasz się porzygał. Palacz nakarmił go węglem, bo węgiel jest dobry na żołądek. Maleńki Tomasz kompletnie odpłynął, ale musieliśmy wracać do domu. Palacz śmiał się z nas, że jesteśmy delikatni jak hostia. Nikt z nas nie czuł się jak hostia i mieliśmy mu za złe, że nam wypomina.

Odprowadził nas do drzwi i pomachał nam papierosem. Policzyliśmy się i nikogo nie brakowało. Komin się krztusił jakby musiał wypluć dym po dziecku.

– Do środka wpadł gołąb. Będę musiał go wyciągnąć – wyjaśnił nam palacz. – Jakbym nie miał niczego ważniejszego do roboty.

Wyobraziłem sobie czarną skamielinę w rękach palacza. Będzie rozkruszał gołębia w palcach i patykiem zdejmował sadzę. Odrzuci martwego ptaka, gdy dokopie się do pierwszego piórka. Tyle mu wystarczy.

\*

Mamusia była zła. Sprąła mnie, sprąła również komeżkę. Miałem czerwony policzek, ale obrzęk zszedł. Ślady węgla także zeszyły i można było o sprawie zapomnieć. Nie wyczuła ode mnie wódki, ponieważ na dobranoc o ból głowy wypła szklanekę wina. Wizyta u palacza mi się upiekła.

Komeżka wisiała na suszarce i kapała. Podobnie musiał kapać Chrystus na krzyżu. Biedny Chrystus, a ja piłem wódkę pod zakrystią. Było mi niedobrze i poszedłem się porzygać do muszli. Ukłęknałem i złożyłem dłonie przy odświeżaczu powietrza. Przed pijanymi oczami migał mi Chrystus. Ministrantom wszystko kojarzy się ze śmiercią.

Położyłem się do łóżka. Przytuliłem twarz do ściany i cichutko beknąłem. Odpowiedziały mi głosy. Nie wiedziałem, która godzina, więc równie dobrze mogłem posłuchać. Sąsiadka mieszkała sama, ale w szafie trzymała zmarłą matkę. Na osiedlach różne rzeczy wydają się normalne.

Kłóciły się o leczenie. Zmarła nie chciała brać pigułek, bo szkoda pieniędzy. Kobiety hałasowały: słyszałem stukot szkła o blat stołu, chrobotanie kluczy o lodówkę, tłuczony talerz.

– Wychodzę – powiedziała sąsiadka – Masz się zachowywać. Weź tabletki. Weźmiesz? Dlaczego mi to robisz? Nie, to nie wszystko jedno. W końcu umrzesz naprawdę. I nie sobie umrzesz, tylko mi umrzesz. Znowu umrzesz mi, nie sobie. Leż!

Kobieta z szafy kaszłała. To była kaszłaca. Głośny skrzek przedostał się przez ścianę z łatwością. Przypominał wydzieranie z ciała płuc i gardła, lecz córka nic sobie z tego nie robiła, tylko wyszła. Wstałem z łóżka. Rozsunąłem firanki i czekałem na otwarcie drzwi. Żółte światło, tłuste niczym oliwa z oliwek, zalało cementowe schodki pokryte szronem. Sąsiadka wyszła w kozakach, żeby mróz nie złapał za kostki. Biegła na przystanek. Robiło się granatowo, lampy rzucały rozmyte wskazówki. Sąsiadka miała rozmytą twarz i rozmytą głowę pełną rudych, nieuczesanych włosów. Była dosyć tłusta i świecąca. Kurtka opinała się na jej poważnym ciele.

Było mi zimno w bose stopy. Ruda sąsiadka zniknęła. Żeliwny piecyk zgasł. Mieszkanie wystygło niczym herbata.

Szron skupiał światło w kryształkach. Brudnawe samochody stały w chorym szpalerze. Różowe okna przypominały płaty świńskiego mięsa. Dziury w elewacji były niczym oczy. Pnie ściętych ostatnio drzew świadczyły o zbrodni. Na pierścieniach po dębach i jesionach zadomowiły się puste małpki. Nad wszystkim wisiała wieża kościoła i kościelny komin, który wciąż dławił się gołębiem.

Za sąsiadką wyszli inni, bo ludzie pracy muszą wstawać wcześniej, żeby inni mogli spać. Pan z warsztatu, pan z budowy, pani z piekarni, pani z kwaciarni. Matka zapinała guziki kurtki i chybotwała się na krótkich nogach. Była jakaś niedopasowana do mroku. Za nią wyszedł ojciec: był sztywny i miał twarz bladą jak trupek.

Ludzie pracy muszą wstawać wcześniej, żeby ministranci i księża mogli spać do południa. Wydawało mi się, że słyszę puszczyka, ale przypomniałem sobie, że wycięli wszystkie drzewa. To była karetka. Do kogo mogła jechać o tej porze? Jeśli miałbym umierać, to chciałbym chociaż zdążyć się ubrać.

\*

Wieczorem ludzie pracy wracali do domu. Właśnie się obudziłem. Miałem męczący sen, ponieważ mamusia dorabiała sobie w domu szyciem i stukwała mi maszyną w głowę. W śnie pełno było morderstw, które zawsze idą za stukaniem. Poszedłem na korytarz, żeby odetchnąć. Patrzyłem przez dziurkę od klucza do mieszkania rudej sąsiadki. Chciałem zobaczyć kaszlącą. Była głośna. Ludzie walili w rury, kiedy kasłała.

– Flegamina, Flegamina, trupie z szafy – krzyczeli.

Kasząca miała produktywny kaszel, ale tak naprawdę nic nie robiła, tylko liczyła plamy wilgoci na suficie.

– Za moich czasów tego nie było – kasłała.

\*

Chciałem udobruchać mamusię, przeprosić za węgiel i spanie do wieczora. Powiedziałem słowo, ale mamusia przyłożyła palec do ust. Pokazała na kanapę, która ugiwała się pod ciężarem owiniętego w całun ojca. Leżał pod kilkoma warstwami ubrań: polarem, kurtką, czapką i jakąś brudną folią. Spał. Świszczał przez nos i usta.

– Pomóż mi, bo się spoci i rozpuści – powiedziała mamusia.

Rozbieraliśmy go na paluszki: trzymałem ciężkie ramię, mamusia ciągnęła rękawy, żeby przeszły przez grubą dłoń. Nie musieliśmy się martwić. Ojciec spał niczym zostawiony na placu budowy pustak. Nie otworzyłby oczu, nawet gdybym pocałował go w zarośnięty policzek.

Został w samych portkach. Mamusia patrzyła na niego jakby był jakimś uchodzącą albo bezdomnym psem. Miał chudziutkie, srebrzyste ciało. Zdawał się błądy i przezroczyście niczym płatek schnącego kwiatu. Mamusia przysunęła lampkę do przegubu ojca i zajrzała mu pod skórę. Widać było płynącą pod spodem krew. Pomyślałem, że ojca zrobiono z folii i mógłbym go rozerwać jednym pociągnięciem. Folię pokrywał szarawy nalot. Powinna być gładka i śliska, ale była bardzo szorstka. Dotknąłem ojca czubkiem palca.

Jego ubrania były ciężkie od cementu. Leżały w kącie niczym dowody na coś wstydliwego. Mamusia pochyliła się i przegrzebała ojcu kieszenie. Sięgnąłem po jego koszulkę. Kruszyła się z trzaskiem, ulatywała z niej smuzka pyłu. Mamusia znalazła pieniądze. Podłożyła banknoty pod światło lampy. Były bardzo cienkie. Zabrała je sobie, ale drobne zostawiła, na wódkę albo pączki.

\*

Wracaliśmy do domu przez pola. Kontakt z przyrodą jest rzeczą najważniejszą, ponieważ w mieście upchnięto śmierdzący tłok. Skręciliśmy

w polną drózkę, która wiła się między ugorami. Ścięte przy samej ziemi kłosa straszyły nędzą: były ostre i twarde. Nasze stopy tonęły w błocie, ostry wiatr mieszał nam łzy w oczach. Pole zdawało się ciągnąć bez końca i byłem zły na mamusię, że nie pojechaliśmy autobusem.

Nie słuchała mnie. Usiadła na kamieniu i złapała się za głowę. Powiedziała, że nie może wytrzymać z bólu i prawdopodobnie tu zostanie.

Zaciągnąłem się i poczułem na języku ostrą woń opon i plastiku, mdły zapach popiołu. Pomyślałem, że mieszkamy w kopule, a środek wyznacza wieża kościoła, i odruchowo poszukałem wzrokiem wyprasowanej w kant iglicy. Mamusia trzymała się za głowę i bałem się, że ktoś nas zobaczy i sobie coś pomyśli. Nie chciałem, żeby uznano mamusię za wariatkę i zabrano ode mnie. Pociągnąłem ją za rękę. Zapadał zimny wieczór. Od stania w jednym miejscu zdrętwiały mi palce i nos. Słychać było szum samochodów, świsty wiatru i ciche postękiwanie mamusi.

Zszedłem na wyschnięte dno rzeczki. Przez jakiś czas chodziłem w tę i z powrotem. Znalazłem martwą jaskółkę. Nie wiedziałem, co zrobić. Próbowiałem wygrzebać dziurę w dnie za pomocą patyka, ale ziemia była zbyt twarda. Bałem się, że zamarznię razem z tą jaskółką. Chciałem położyć się obok ptaka i zasnąć, ponieważ zapadał zmrok. Wtedy mamusia wstała.

Chwiała się, ale jakoś znaleźliśmy nasze osiedle. W domu mamusia kazała mi rozpaść w piecu. Sama usiadła do maszyny. Drżały jej dłonie, kiedy podsuwała ścieg pod igłę. Palce umykały przed szpikulcem. Pomyślałem, że zaraz któregoś straci, ale bałem się odezwać, więc rozpałem ogień i schowałem ciało w swoim pokoju.

Mamusia wzdychała przy pracy. Zagotowała wodę i zrobiła sobie herbatę. Zawołała mnie, bym się rozgrzał. Patrzyłem przez kuchenne okno. Żółte światło lampy padało na aleję wyciętych drzew. Wśród pni krążyła córka księżycy.

– Córka księżycy znowu się zgubiła. To straszne, ale choroba nie wybiera. Nie możemy narzekać, tylko dziękować Bogu – powiedziała mamusia.

– Ona bardzo lubiła te drzewa. Mógłbym zaprowadzić ją do domu.

– To idź.

Córka księżycy miała lśniące wodogłowie. Wyglądała w świetle żółtej lampy niczym wata cukrowa o smaku cytrynowym. Jak byłem młodszy, to chciałem oberwać córce księżycy dolną wargę i spróbować smaku. Teraz patrzyła w niebo. Przestępowała z dłuższej nogi na krótszą, ale nie mogła się tak łatwo wyrwać.

– Wycięli wszystkie drzewa. Chcę zobaczyć ojca – powiedziała z głową zadartą ku niebu.

– Po co?

– Po prostu tęsknię.

Patrzyliśmy razem. Wydawało mi się, że głowa córki księżycy pęcznieje od zimna. Przypominała mi jajko. Nad miastem wisiała gęsta, czarna chmura zrodzona z tysięcy kominów i kościelnego komina. Ta chmura nie dopuszczała do nas światła gwiazd i unieważniała księżyc w całości.

– Od dawna go nie widziałam.

Patrzyłem w głębokie, czarne oczy córki księżycy. Zdawało mi się, że widzę w nich rozpacz. Głowa dziewczynki była teraz szarawa. Blask zgubił się gdzieś po drodze. Odprowadziłem ją do domu. Otworzyła mi matka, samotna kobieta, którą dawno temu zostawił ojciec córki księżycy. Była potężną kobietą o dużych ustach i potężnych barkach. Nie miała w sobie ani grama zwieźności, ale zdawała się lekka, ponieważ kochanek zostawił jej coś białego pod skórą.

– Wciąż nie widać księżycy? – zapytała. – Ona musi codziennie na niego patrzeć. Tak nie powiedział lekarz, ale to prawda. Zobacz, utraciła prawie cały blask. A kiedyś miała go tyle, ulewało się. Służyła mi za lampę i oszczędzałyśmy na rachunkach.

\*

Skończyła się poranna msza. Maleńki Tomasz powiedział, że przyniesie nam czarnego gołębia, który wpadł do komina, bo nie można

oddychać, kiedy komin się krztusi. Tomasz był zwinny, ponieważ Bóg poskąpił mu kręgosłupa. Umiał polizać własny kark albo dotknąć głową łydki.

Przysunęliśmy ukradzioną palaczowi drabinę do muru kościoła. Maleńki Tomasz wspiął się po przęsłach i stamtąd przeskoczył na dach. Pomachał nam z góry. Wyglądał na tle białego nieba jak pająk albo kruk.

Stara, bielutka kobieta wytoczyła się z kościoła, ulicą przechodził młody mężczyzna w czapce z napisem „Łódzka Kurwa Sportowa”. Czyjś wrzask sprawił, że stopa Tomasza omsknęła się na dachówce. Czarna sylwetka zachwiała się i spadła w świeżo przyciętą przez palacza trawę.

Byłem pewny, że maleńki Tomasz umrze. Pomyślałem sobie o skręcaniu króliczych karków na pasztet. Jego noga wyglądała okropnie. Kość przebiła przezroczystą jak szklanka skórę. Na naszym osiedlu wszyscy mieli cienkie skóry, ale nikt nie uważał.

Rzuciłem się na kość i przycisnąłem ją obcymi dłońmi. Maleńki Tomasz wrzeszczał i przypominał Chrystusa, który się rozmyślił.

Niebieskie światło rzuciło gwałtowny blask na ściany kościoła. Ambulans wtoczył się na trawnik. Karetka pękła jak szklana butelka upuszczona na chodnik i zabrała Tomasza ze sobą. W rękach olbrzymich ratowników Tomasz wyglądał jak mróweczka.

Czarne gołębie patrzyły na nas z rynny i gruchały radośnie.

\*

Kruk przeżył się przy rancie drewnianego stołu. Chwytał krawędzie suchymi palcami, które zdawały się bielsze, niż były naprawdę. Nie założył sutanny, tylko bawełniany sweter i koszulę w paski. Był przystojny i biały. Na brodzie miał czerwone zadrapania po goleniu. Wyglądał jak student. Rozmawiał z mamusią przyciszonym głosem. Uśmiechał się z zadowoleniem. Jego wargi były jak rozedrgana skóra na bębnie. Nieustannie się



poruszały. Mamusia milczała niczym woskowa dziewczica, ale na policzkach zdradzały ją buraczkowe rumieńce.

Uchyliłem drzwi do kuchni. Kruk wzdrygnął się i rzucił mi surowe spojrzenie.

– Rozmawialiśmy o katechezie. Opuszczasz moje lekcje zbyt często. Wolisz spędzać czas w inny sposób.

Mamusia zawiodła się na mnie. Była zdenerwowana. Nie chciała urazić Kruka.

Kruk uśmiechnął się. Kruk był przebiegłym lisem. Poczułem intensywny zapach wody po goleniu. Był to zapach mężczyzny. Ojciec go nie znał.

Kruk wykonał dziwaczny ruch i strącił filiżankę ze stołu. Brązowa ciecz utworzyła kałużę. Zdenerwował się, wstał i ruszył do przedpokoju. Założył buty i wciągnął długi, czarny płaszcz z grubego materiału. Cieszyłem się, że zdołałem go przestraszyć.

Zostawił za sobą otwarte drzwi. Korytarz wpychał się do naszego mieszkania i podbierał nam światło. Wielkie oko patrzyło w nasze małe oczka. Mamusia zastygła przed telewizorem.

Musiałem zamknąć drzwi po Kruku, chociaż nie był moim gościem.

\*

Ziemia była twarda, piłka przypominała w dotyku kamień. Płuca mnie bolały, bo musiałem oddychać. Przyłożyłem dłoń do ust. Po kilku oddechach była czarna. Ciała ministrantów zamieniły się w kwadraty.

Graliśmy na placu za kościołem. Było tu nierówno i co chwila ktoś się przewracał. Trawa nie odrosła po letnich suszach. Dostałem piłkę, lecz nim zdążyłem wykonać zamach, ktoś odepchnął mnie i upadłem. Ziemia uderzyła mnie po udach, biodrach i plecach. Nikt nie zwrócił uwagi, więc leżałem. Nie chciałem patrzeć na obolałą nogę. Bałem się, że kość wystrześliła z przezroczyściej skóry.

Maleńki Tomasz siedział na obdrapanej ławce ze sztywną nogą wystawioną przed siebie. Kule leżały daleko i maleńki Tomasz nie mógł się ruszyć. Kiedy tylko usiadł, chłopaki zabrali mu kule, żeby poudawać kalleki. Później wyrzucili je daleko i zaczęliśmy grę. Maleńki Tomasz wołał zamarznąć niż się czołgać. Udawał, że wszystko w porządku. Wodził wzrokiem za akcją. Pojawił się za nim następny kwadrat, tylko większy. Zwalista postać przypatrywała się meczowi. Rozpoznałem swojego ojca i zawstydziłem się. Chłopcy przerwali grę. Patrzyli po sobie i po mnie. Nie wiedzieli, co robić. Myślałem, że rzucą się na mojego chudego ojca z pięściami, ale zebrali się w kole i zaczęli się głośno śmiać.

Dopiero później wstałem. Noga nie była złamana. Nikogo wokół nie było, ale wieże kościoła zwiślały nade mną niczym nadmuchane sople zdolne przebić serce na pół.

\*

Chciałem spytać mamusię o Kruka, ale nie wiedziałem, od czego zacząć. Kruk zdawał mi się przystojny i zastanawiałem się, czy mamusia może go kochać w ten sposób. Wciąż bolała ją głowa, więc tłumaczyłem sobie, że potrzebowała spowiedzi, żeby zrzucić z siebie trochę bólu. Mamusia była delikatnym skrzydłem ćmy. Pasowała do gładkich dłoni Kruka.

Tymczasem prała ubrania ojca. Odetchnąłem z ulgą. Ubrania były sztywne, ale ojciec pochował pieniądze gdzie indziej. Mamusia znalazła niedopalki, tytoń i ulotkę z rozebraną kobietą.

– Ona jest dorosła. A my zostaniemy dziećmi na zawsze – powiedziała.

Zmięła ulotkę i rzuciła kuleczkę w kąt. Podniosłem ją ukradkiem i rozprostowałem. Piersi kobiety były rozplaszczone jak plasterki wędliny. Oblizałem usta. Czy prostytutki łamią ojcowskie ciało w miękkich palcach?

Cement został pod paznokciami mamusi. Inne matki malowały sobie paznokcie, ale mamusia miała palce spracowane od szycia. Cement pasował do nich i pomyślałem, że to nic złego, że nie nosi obrączki, bo cement łączy

ją z ojcem wężłem mocnym jak fundament. Na twarzach osiadał nam pył i kaszleliśmy wspólnie.

Mamusia oparła się plecami o ścianę i zaszlochała cicho. Obrtała łązy koszulą ojca. Na policzku została jej szara smuga.

– Boli cię – spytałem.

– Tak.

Kazała mi uklęknąć przy łóżku i modlić się do obrazka po pierwszej komunii. Wszedłem na łóżko i zniszczyłem pajęczą sieć, która oblepiała papieża. Wszyscy jesteśmy uwikłani, pomyślałem górnolotnie. Lepiły mi się palce. Czarny kłębek pajęczego ciała był szorstki w dotyku.

– Już się nie modlisz – powiedziała mamusia.

Kazała mi uklęknąć ponownie. Oparła czoło o materac. Nie ruszała się przez chwilę. Znowu podniosła wzrok na obrazek, znowu zastygła.

– Jestem chora.

– Nie.

– Tak.

– Czy palisz papierosy. Czy pijesz wódkę. Czy robisz inne rzeczy.

– Nie. Nie. Dlaczego.

Zmówiliśmy dekalog. Mamusia powiedziała, że ma przeczucia, ale wierzy w Kruka i woskową dziewicę. Domowe sprzęty wykrzywiły kontury. Chciałem przytknąć ucho do ściany i posłuchać kaszłacej, ale przeszkadzała mi mamusia. Zasnęła oparta czołem o materac. Zasnęła na klęczkach i nie mogłem jej dobudzić, ale w końcu nie umarła i poszła do siebie.

– Nie widać księżycy – powiedziałem, gdy stała w drzwiach.

– Co?

– Nie widać księżycy.

– To dobrze. Nie mogę spać, kiedy świeci.

\*

Zachorowałem od leżenia na przezartym mrozem gruncie, więc miałem czas, by patrzeć na podwórko, ulicę i okna sąsiadów. Użyłem plasteliny,

by zakleić szczeliny w parapecie i oknach, przez które dostawał się do środka wiatr i zimne powietrze.

Nie zauważyłem niczego ciekawego. Kruk nie pokazywał się u nas. Mamusia mówiła, że ma na głowie bogatszych ludzi. Biedni są smutni i agresywni. Nie mówią niczego ciekawego, tylko chodzą w grubych kurtkach kupionych na straganie i warczą na siebie. Mamusia chciała, by odwiedził ją Kruk, dlatego miała za złe naszym sąsiadom, że są niekulturalni z domu.

Nudziło mi się patrzeć, więc chodziłem do rudej sąsiadki i kaszłającej. Patrzyłem na lichą szafę. Kiedy rozlegał się kaszel, drżała cała meblościanka i kryształy delikatnie pobrzękiwały. Chciało mi się z tego śmiać.

– Dawno nie widziałem córki księżycy – powiedziałem. – Gdzie ona jest.

Ruda sąsiadka obtarła wargi z okruchów ciasta. Zamyśliła się. Patrzyła na szafę. Pomyślałem, że duchy są wśród ludzi i nie ma większych różnic między życiem a śmiercią.

– Córka księżycy leży w domu. Straciła światło, ale ona nie udaje choroby i niedługo umrze.

Pożegnałem się i poszedłem na górę. Schody trzeszczały jak stare gałęzie. Otworzyła mi żona księżycy. Zaprosiła mnie do środka i poczęstowała gorącą herbatą pozbawioną smaku. Mój język zamienił się w ręcznik. Nie mogłem strzepnąć z niego twardego nalotu. Żona księżycy wskazała na okno. Zapadł zmrok i ciemność rozświetlały tylko żółte lampy oraz szylld sklepu spożywczego.

– Nie widać księżycy – powiedziała żona księżycy. – Córka potrzebuje światła do życia.

– Czy mogę ją zobaczyć?

Żona księżycy nosiła fartuch poplamiony błyszczącymi, tłustymi plamami i musiała się odrobinę zastanowić. Ona także tęskniła za księżycem, bo żaden inny kochanek nie przynosił światła, wszyscy mieli w zanadru zaledwie ciemność.

Wielka głowa córki księżycy szarzała. Przypominała gniazdo porzucone wśród zboża. Dziewczynka spała, ale co jakiś czas otwierała oczy i patrzyła w sufit, jakby chciała go zassać i połknąć.

– Lekarz mówi, że to depresja – powiedziała żona księżycy. – Depresja klimatyczna. Ale to nieprawda, bo ona tęskni za swoim tatą.

– Gdzie jest?

– Pojechał za granicę i nie wrócił – skłamała.

Nachyliłem się do córki księżycy. Chciałem pocałować ją w olbrzymią głowę, ale pocałunki nie sprowadzają światła. Patrzyłem przez okno. Niebo było puste, chmura pęczniała.

– Pomogę ci – powiedziałem.

Córka księżycy zastygła. Mógłbym zanurzyć dłoń w jej skórze. Przeszłaby na wskroś jakby granica skóry była zimną taflą wody.

\*

Palacz walczył z mrozem o miasto. Zima ścisnęła domy i szyby, lecz komin ogrzewał ściany pyłem, wypluwał na zewnątrz podmuch i rozpuszczał niebo. Kościół rósł jak balon i zdawało się, że odleci w kosmos. Nasze domy i ulice wiły się przed nim i błagały o łaskę. Kruk stał w oknie swojej sypialni i ogarniał wzrokiem parafię. Czuł w gardle gulę albo zadrapanie, bo nie założył szalika.

Spadł przypadkowy śnieg. Palacz odpowiedział wycieczką do miasta. Wrócił z taczka pełną węgla. Czarne kamienie wydawały się większe i twardsze niż wcześniej. Palacz parł taczka po cienkim śniegu i sapał. Kilka kawałków węgla spadło na ziemię i utworzyło węglowy ślad wzdłuż kościoła.

Palacz zszedł pod ziemię. Słońce zachodziło nad miastem z krwawym uśmiechem. Wtedy palacz nakarmił piec i słońce zniknęło za gęstym dymem. Śnieg na dachu kościoła stopniał. Strużki wody skapywały z rynien i rozmywały węglowy ślad w szarą breję. Palacz był podniecony swoim zwycięstwem i upił się z radości.

Kruk ubrał się w czarną, grubą pelerynę i wyszedł przed kościół. Szedł po węglowym śladzie i ślizgał się na roztopionym prawie śniegu. Obserwowałem go zza rosnących przy kościele tui. W końcu oddalił się, powiewając płaszczem nad brudnym chodnikiem. Jego eleganckie półbuty plaskały w brei.

Wszedłem do zakrystii. Stamtąd do prezbiterium i stanąłem w końcu przed ołtarzem. Było ciemno. Świeciła tylko wieczna lampka, ale i tak zachłysnąłem się z przerażenia. Miałem ochotę uciec. Ogromny ołtarz pokrył mnie wielkim palcem, przycisnął do podłogi.

Święci patrzyli na mnie z uwagą. Ich twarze kapały się w cieniu i kurzu. Byli pająkami i szybowali w górze. Hostia błyszczała w nikłym świetle. Była czysta, ale zmieniła się w bryłkę węgla i zaschła kościółowi w gardle. Woskowa dziewica była biała i lśniąca. Rozganiała mrok wokół siebie. Była płatkim śniegu albo księżycem.

Zebrałem się w sobie i objąłem ją wpół. Nie chciała się ruszyć. Była sztywna jak kłoda drewna.

Woskowa dziewica nosiła w sobie światło. Woskowa dziewica potrafiła leczyć ludzi z szarości i mroku. Musiałem wziąć ją ze sobą i przyłożyć do czoła córki księżycy. Musiałem nakarmić olbrzymią głowę księżycem.

Pociągnąłem woskową dziewicę z całej siły. Zatrzęsała się i zwała na mnie całym swym woskowym ciężarem. Próbowałem utrzymać ją przed sobą, ale ześlizgnęła się i upadła na posadzkę. Rozległ się straszny huk. Później ogromna cisza. Igiełki ciszy tańczyły na ołtarzu i klęczniku. Wieczna lampka drżała na czerwono. Hostia rozmyła się w kropelce potu. Posadzkę pokrywało woskowe ciało w tysiącu kawałków. Wielkie, kwadratowe bryły leżały obok małych kłosek. Drobinki potoczyły się w najdalsze zakątki świątyni i świeciły tam niczym odpalone latarki. Dostojna twarz woskowej dziewicy wyglądała niczym odłupany blok lodu.

Sięgnąłem po woskowy soplek i wsadziłem go sobie do kieszeni. Wybiegłem przez zakrystię. Uciekałem węglowym śladem i wpadłem na zwalistą postać śmierdzącą wódką, wilgocią i spalenizną. Palacz zachwiał się. Stał

szeroko na nogach. Rzucił się ku mnie na oślep, ponieważ wyczuł złodzieja. Nie trafił, upadł w błoto i zanim się podniósł, zdążyłem uciec między kamienice.

Woskowy sopel pił mnie w udo. Wyciągnąłem go i biegłem, ściskając sopel w zaciśniętej dłoni jak nóż.

\*

Przyłożyłem sopel do czoła córki księżycy. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Nasmarowałem woskiem wielką głowę dziewczynki. Błade wargi zadrzały. Włożyłem między nie sopel. Zaczął topnieć. Na ustach córki księżycy osypał się blask podobny do brokatu.

- Niedługo zobaczymy księżyc – powiedziałem.
- Nikomu nie powiem – powiedziała żona księżycy.
- Dziękuję.

Żona księżycy chciała, żebym wyszedł. Bała się powództwa o podżeganie, bo nie sądziła, że ktoś uwierzy w stan wyższej konieczności. Czekala, aż odejdę od łóżka córki księżycy. Każdy na naszym osiedlu znał woskową dziewicę w całości, dlatego widok sopla wprawił żonę księżycy w zakłopotanie.

- Znalazłem blask na ulicy – powtórzyłem.

Córka księżycy pocierała czoło, które obrastało w powiększający się z każdą chwilą guzek łśnienia. Wielka głowa rozbłysła niczym abażur.

\*

Mamusia była w nastroju apokaliptycznym. Śniła sny o głowie, że odpada i toczy się z ramion jak ciekawa rozmowa. Mamusia miała główkę maleńką i czarną: podobną do wysuszonej śliwki. Co mieściło się w główce mamusi? Tylko sny trujące niczym opary z komina. Wyobrażałem sobie środek tej główki: ciasne pomieszczenie, do którego ktoś napuszcza gaz i wrzasków.

Mamusia wstawała w nocy, bo nie mogła zasnąć. Znajdowałem ją nad ranem przy stoliku w kuchni. Wyglądała niczym kościelna figura, którą zapomniano złożyć do kupy. Stała przed nią szklanka wody, którą mamusia usiłowała wypić. Plastikowe pudełeczko z lekami było rozgrzebane. Listki wystawały z pudełek jak drwiące języki.

Mamusia nad ranem była zmęczona. Miała opuchnięte nogi: żyłki zdążyły nabiec krwią, bo mamusia zdążyła się nabiec po całym domu. Biegała z zamkniętymi oczami, przewróciła się o starą kanapę i prawie zrzuciła telewizor.

Była w nastroju apokaliptycznym. Ze wszystkich stron wyczuwała sygnały tragedii, która wsiąkała w podszewkę świata niczym woda w miękką glebę. Tragedia pożerała świat za pomocą ostrych zębów.

Mamusia chodziła do pracy, ale wstawanie w nocy, przesiadywanie w kuchni i udawanie zamkniętych oczu kosztowały ją wiele wysiłku. Musiała wykosztować się na halucynacje, obrazy płonącego świata, wysłuchiwanie wrzasków z zimnych, zalanych strachem wnętrz. Na obowiązki: gotowanie, sprzątanie i szycie, nie starczało waluty, czyli żył, które musiała sobie wypruwać na każdym kroku. Mamusia stawiała kroki z trudem i nie wiedziała zupełnie, dokąd pójść.

Tylko kościół ją przyciągał. Kruk miał w sobie jakąś magnetyczną siłę: może siedział nocami na wieży pośród gołębi i krakał w języku słyszalnym tylko dla schorowanych kobiet.

\*

Kruk mówił z ambony słowami. Był czarny i rozłożysty. Kręciło mi się w głowie, miałem lekki żołądek, bo przed mszą poszliśmy w krzaki na łyk wódki i papierosa. Kościół gęstniał i dźwięki bolały mnie w uszy. Całe ciało miałem wiotkie. Nosilem rybie ciało, dobre do klucia widelcem.

Poszatkwane zwłoki woskowej dziewicy uprzątnięto. Nie patrzyłem w puste miejsce. Chodziły plotki, że Kruk rozważa zakup stalowego



archanioła, żeby wypełnił wakat. Stalowy archanioł miałby system alarmowania: mógłby ziać ogniem niczym smok.

Po mszy wciąż miałem brudne dłonie. Małeńki Tomasz siedział w zakrystii, bo miał karę na służenie. Rozdziawił szczerbatą paszczę na nasz widok. Kruk był milczący i zirytowany. Zrzucił szaty liturgiczne i sutannę. Jego napięte ramiona rozluźniły się na moment. Zmierzył nas czujnym i ptasim spojrzeniem. Spuściłem wzrok. Byłem pewny, że się domyślił. Któryś z milczących wtedy świętych mógł szepnąć mu do ucha prawdę. Kruk wyszedł bez słowa. Na szczęście nie miał dostępu do świętych.

Palacz wystawił do nas swoją pijaną gębę. Zapraszał do pieczary, ale nie chcieliśmy zejść. Małeńki Tomasz rzucił w niego butelką. Chciał ukarać palacza, bo wszyscy mówili, że to on zrobił. Szkło rozbiło się o cementową ścianę przybudówki. Palacz wylażł na zewnątrz i zachwiał się. Jego oczy były dzikie i straszne. Twarz przybrała czerwona barwę. Zarósł, wyglądał niczym małpa. Śmierdział wódką, wymiocinami i strachem.

Palacz wrzeszczał, że jesteśmy tchórze. Usiłował pochwycić któregoś z nas, ale małeńki Tomasz uderzył go laską w kolano i palacz upadł na kostkę pokrytą cieniutką warstewką śniegu. Trzymał się za nogę i zwiżał z bólu, złorzecząc nam i bełkocząc. Prawie nie miał zębów, dlatego jęki, które z siebie wydobywał, przypominały wycie zarzynanego psa.

– Obrzydliwy alkoholik – powiedział małeńki Tomasz.

Ojciec małeńskiego Tomasza prawie codziennie był pijany. Pokiwałem głową. Palacz zdołał wstać. Chybotał się z nogi na nogę, ale nie pobiegł za nami. Tomasz kuśtykał, pomagając sobie laską. Pomyślałem, że cieszy się z męki palacza, bo może nie widzieć przez nią ojca.

\*

Policja zabrała palacza. Okazało się, że zniszczył woskową dziewicę po pijaku. Został oskarżony o kradzież, wandalizm i obrazę uczuć religijnych.

W kościele było zimno i nieprzytulnie.

Kruk odwiedził nas, bo nie miał gdzie pójść. Mamusia spowiadała się ze swoich bólów, krzyków i przeczuc. Powiedziała Krukowi o końcu świata, że widzi go w snach. Mówiła ze szczegółami: płonące domy, zalane cmentarze, puste tunele, ślepe dzieci, popiół na wargach i ustach, tysiące maleńkich, czerwonych ludzi bierze sobie nasze domy w posiadanie, dym odwraca nam gardła na drugą stronę.

Mamusia otwierała się przed Krukiem jak martwe ciało pod dotykiem noża. Kruk był zimny i twardy niczym nóż kuchenny. Nie odezwał się ani słowem, chociaż miał być źródłem nadziei. Bębnił czystymi palcami w stół i rozglądał się po mieszkaniu. Mieszkanie było prawie puste. Jak mieszkanie duchów albo mieszkanie, z którego ktoś zamierza zbiec.

– To wszystko nieprawda – powiedział Kruk.

– Jak to? – zapytała mamusia.

– Zostaw strachy Bogu. On doprowadza rzeczy do końca. W swoim czasie, bo na wszystko przychodzi czas.

– Nie wierzysz mi?

Kruk wzruszył ramionami.

Mamusia chorowała, ale nie przyjechała po nią żadna karetka. Dopiero kilka dni po wizycie Kruka ambulans wtoczył się na podjazd. Rzucił niebieskie światła w okna, ostre sygnały w uszy i szkło.

Zabrali córkę księżycy na oddział psychiatrii dziecięcej do innego miasta. Szpital był przepełniony. Córka księżycy musiała leżeć na korytarzu. Zastanawiałem się, czy w tamtym mieście widać księżyc i codziennie ich wypatrywałem.



XXVII Konkurs literacki

# Krajobrazy Słowa

---

## Justyna Strzęp

godło „Scarlett”

---

**II NAGRODA w dziedzinie prozy**

### **Justyna Strzęp**

Ukończyła filologię polską i angielską. Pracowała w kinie, centrum kultury, w muzeum oraz w rodzinnej firmie. Obecnie na urlopie wychowawczym. Od czasu do czasu zasila szufladę nowymi opowiadaniem, lubi uczyć się języków.

## Skrycie

Ada siedziała na taborecie przy kuchennym stole, wsparta łokciem o blat, z przyzwyczajenia zakrywała część twarzy ułożoną w łódkę dłonią. Siedziała na tle jednoskrzydłowego kuchennego okna, w jednej czwartej swojej wysokości zasłoniętego poźółkłą zazdrostką. Blade światło deszczowego marcowego popołudnia oznaczało kontury jej sylwetki, w środku wypełnionej ciemnością. Scena na pewno wyglądałaby pięknie i melancholijnie zamknięta w ramy fotografii. Adaś stał niemy w progu kuchni i przyglądał się jej, ale nie pomyślałby o zrobieniu zdjęcia. Domyślał się, że takie momenty, takie obrazy były bardzo wstydliwe, najlepiej byłoby tego nie widzieć i o tym nie wiedzieć. Zobaczyć ją dopiero następnego dnia rano, gdy umalowana ubiera się do pracy, szykuje mu strój, a potem wychodzą razem za rękę na autobus do przedszkola. Ale widział ją taką często, pomyślał, że na szczęście nie codziennie, ale często.

Ada drgnęła i obróciła się w jego kierunku. Stał na progu kuchni z pustym kubkiem w kurczowo zaciśniętej dłoni.

– Syneczku... – powiedziała swoim najpiękniejszym głosem i wyciągnęła do niego ręce. Kiedy odsunęła dłonie od twarzy, a jego oczy przyzwyczajone już do półmroku nie wychwyciły żadnych nowych śladów, bardzo się zdziwił i w odruchu przemożnej radości upuścił emaliowany kubek na posadzkę i pobiegł w matczyne ramiona. Skwapliwie wgramolił się jej na kolana. Uczucie ulgi było takie ciepłe i miłe rozlewało się po całym ciele. Uwielbiał to uczucie, pojawiała się, kiedy nie płakała, kiedy ojciec wychodził albo kładł się spać, kiedy słyszał, że rozmawiają normalnymi głosami, co jeszcze wtedy się zdarzało. Siedział na jej kolanach i głaskał ją po buzi, powiedział, że przyszedł nalać sobie mleka. Wyciąłowała go i posadziła na taborecie obok, a sama wstała, żeby zabrać kubek z podłogi i nalać mu mleka z lodówki. Kiedy stanęła w progu i schyliła się po kubek, na krótką chwilę odsłoniła porwane, zaplamione na czerwono rajstopy, akurat na ten krótki

moment przez okno wpadło kilka ostatnich promieni słonecznych i bezlitośnie podświetliło jej nogi. Adaś zamarł, wydał z siebie niekontrolowany jęk i obrócił się trochę zbyt gwałtownie. Matka jednak tego nie zauważyła ani nie usłyszała, wyprostowała się, opuściła spódnicę, którą specjalnie podwinęła kilka centymetrów w górę, aby łatwiej było jej się schylić i sięgnąć po kubek. Podeszła do lodówki, wyglądając dłonią materiał spódnicy, a w tym niespokojnym geście zgrzytała nuta zawodu. Spowodowanego najprawdopodobniej tym, że będzie musiała wyrzucić kolejne rajstopy.

Zbychu prął bez opamiętania, okładał pięściami, wymierzał kopniaki z całej siły i nie mógł odżałować, że nie ma go już w niej zbyt wiele. Z upodobaniem chwycił za wiotkie elementy, takie jak poły żakietu, grube gęste pukle włosów, pulchne bezwładne ramionka, które najwyraźniej już straciły zapas do obrony i osłaniania się od ciosów. Chwycił, żeby przybliżyć swój słodki cel, żeby przyciągnąć go do siebie i się nie namęczyć, tylko wyładować całą tę złość, zawód, rozczarowanie, frustracje, które na pewno tak właśnie by opisał, gdyby dysponował jakimiś zasobami samoświadomości. Wtem coś mignęło mu przed oczami, niczym opadająca kurtyna, ale nie przesłoniło obrazu, poczuł natomiast potworny uścisk zamykający się na jego szyi, blokujący możliwość oddechu i dopiero ten bezdech zaburzył mu obraz. Kiedy przestał się szarpać i ręce zamiast próbować namacać i uchwycić napastnika, opadły bezwładnie wzdłuż ciała, uścisk zelżał. Jeszcze na moment zdołał otworzyć oczy, żeby zobaczyć, że to, czym był duszony, to jego własny pasek, którym po powrocie do domu zaczął okładać Adriannę, a teraz spoczywał zwinięty na dywanie jak zdradziecki wąż, połyskując zaczepnie wyciągniętym jęzorem sprzączki. Osunął się bezwładnie na ziemię, ociężyła od alkoholu, wysiłku i chwilowego braku tlenu.

Co to był za dziwny widok. W tym domu, gdzie na podłodze zawsze lądowała baba. Gdzie synalek zamykał się w pokoju i nie wyściubiał noska z książki. Gdzie on się czuł królem, zrelaksowany po

dniu upokorzeń, odprężony po wyładowaniu zalegał przed telewizorem i popijając piwo czekał, aż Adrianna dojdzie do siebie, żeby odgrzać mu obiad. Aż tu nagle, dzisiaj wieczorem, oboje z małżonką leżą w dwóch przeciwnych kątach pokoju jadalnego, jak bokserzy po podwójnym nokaucie. Ona w podartej odzieży, z pozlepianymi krwią włosami, z nieskromnie rozrzuconymi nogami pokazuje kino. On siny, charczący, sztywno rozprostowany jak struna, wyciągnięty na plecach. Na środku, mniej więcej w równej odległości między nimi leży ten przeklęty pasek, który go zdradził i oszukał. A teraz najlepsze. W tym bezruchu, w tym stuporze, w tej ciężkiej, horyzontalnie porozmieszczanej scenie jest jeden element, który już zupełnie nie pasuje. Wyłom. W progu do jadalnego stoi roztrzęsiony, dygocący jak nóżki wieprzowe w galarecie, blady, wątły okularnik. Adaś. Trzyma się oburącz futryny, jest na licach czerwony, płoną mu gładko ogolone policzki, z prawej dziurki u nosa wypływa zielonkawa kapa, pod pachami białej pomiętej koszuli uwidoczniły się dużych rozmiarów plamy od potu. I Adaś, skryty, drobny, nierzadko pokasłujący przy wysiłku tegoroczny maturzysta odrywa wilgotne dłonie od futryny i krokiem tak pewnym, jak nikt by nie pomyślał, że go stać, podchodzi do ojca, staje nad nim na rozstawionych nogach, w pozycji bardzo pewnej siebie, pochyla się nad nim i z matematyczną precyzją oblicza punkt na swetrze, za który łapie, z niemałym, ale dobrze skrywanym wysiłkiem unosi ojca z ziemi, przybliża swoją twarz do jego i syczy – jeśli tu kiedyś wrócisz, to cię zatłukę jak gnidę – a na jego czole pulsuje żyła. Potem wlecze za sobą zdezorientowanego Zbycha przez korytarz, pchnięciem otwiera drzwi wejściowe, których za sobą wcześniej nie zamknął na klamkę i wypycha ojca na klatkę schodową, i teraz dopiero zamyka drzwi na klucz i odsuwa się od nich na bezpieczną odległość. Tak żeby nie móc jednak sięgnąć i ich z powrotem otworzyć, tylko żeby się utwierdzić w słuszności swojego postępowania raz na zawsze.

Zbychu tymczasem leży upokorzony do granic, na linoleum i słyszy kroki na schodach, więc zrywa się zupełnie otumaniony, żeby gdzieś się schować. Kroki dochodzą z góry i zbliżają się do niego, więc odruchowo biegnie na dół i otwiera pierwsze drzwi, które wie że ustąpią pod naciskiem jego dłoni, a mianowicie drzwi do piwnicy.

– Adaś, śmieci weź ze sobą, co? – Żaneta oparła się biodrem o framugę, uśmiechnęła się do niego rozmarzona, może że stanowią coś na kształt rodziny, że ten gest wiąże ich ze sobą jeszcze więcej i ciaśniej, że może się z nim czuć swobodnie, że prowadzą, od czasu do czasu, wspólne gospodarstwo domowe. Miała na sobie jego starą, wyblakłą koszulkę, w której ponoć najlepiej jej się spało, bo nim pachniała. Zaanektowała ją ponad pół roku temu, to co? nie prała jej od tego czasu? – wtrąciła Ada głosem lodowatym, lecz znamionującym matczyną obawę przed chorobą. Adam wszedł do windy, ustawił się przodem do lustra, tak żeby móc obejrzeć dokładnie swoją twarz. Niegolony trzy dni, taki zarost uwielbiała Żan, mama natomiast się na niego krzywiła, bo nieestetyczny i drapie. Powieki trochę napuchnięte od niewyspania, do późna oglądali filmy z Zuzią, Żan położyła ją dopiero po północy, tak lubi spędzać czas z Adasiem, że nie ma serca wyganiać jej do siebie. Potem się kochali i gadali o wspólnej przyszłości, zasnęli koło 3:00, a może było później, bo powoli zaczynało robić się jasno. Zwierzęta... jęknęła Ada pod nosem, tak żeby nie było jej słychać, ale żeby można się było domyślać, jakie jest jej zdanie w tym temacie.

45 lat na karku, przeciągnął opuszkami palców po poziomych bruzdach na czole, kiedy to minęło. Przypomniwał sobie, że w następną sobotę Zuzia ma urodziny i obiecał odebrać po drodze zamówiony prezent. Ale w soboty zawsze chodziliśmy na długie spacery, zauważyła niepokieszona Ada. Winda zaskrzypiała i zatrzymała się z lekkim szarpnięciem, ale jeszcze przez chwilę nie odwrócił twarzy od lustra. Nie mrugał, żeby nie odbierać sobie tych opłków czasu, które spędzał w pojedynkę, nie brał w niczym udziału, nie zabierał głosu, nie współdecydował. Przez chwilę mógł być tylko on ze

swoimi myślami, w ciszy, przyglądać się bezkarnie swojej twarzy. Zamknięty w małym pudełku windy, oddzielonej od świata szybem, owiniętej schodami, zabezpieczonej w konstrukcji z wielkiej płyty.

– Coś się stało? – do kabiny weszła starsza kobieta – Popsuła się?

– Nie. – Adam zaśmiał się jak sztubak, trochę z siebie, trochę z sytuacji – Zamysliłem się i ... nie zauważyłem, że już się zatrzymała. – zrobił nieporadną minę, kobieta przewróciła oczami na znak zniecierpliwienia i przepuściła go w drzwiach.

– Miłego dnia – Adam uśmiechnął się do niej figlarnie i dziarskim krokiem ruszył do zsypu.

Zbyszek początkowo buntował się, wewnątrz. Chodził do pracy nieumyty, czasami czekał, aż wszyscy wyjdą z zakładu i brał prysznic, ogolił się, wypachnił. Ale potem co, wracał do swojego nowego „domu”, do tego kurzu, brudu, bałaganu, którego od dziecka nienawidził i czuł, jak to wszystko na nim osiada, lepi się do niego, przywiera, a w ostatecznym rozrachunku zdradza, gdzie teraz nocuje i jaki przyszło mu wieść żywot. Po kilku tygodniach udręki zastosował coś w rodzaju strajku, co wieczór szedł do sklepu po nową koszulę, prosił, żeby mu ją odprasowano, starą natomiast z całym ceremoniałem wyrzucał do kosza na ulicy. Przychodził do pracy nieco wcześniej, ale też nie znowu za wcześniej, żeby ludzie wchodzący do łazienki mogli się na niego natknąć, jak kończy swoją toaletę. Kupował dania gotowe, bo w tych czasach raczkowały już pierwsze supermarkety, pierogi na tackach itp. Nie miał tego co prawda potem gdzie odgrzać, jadł zimne, no i dobrze, dostanie w końcu choroby brzucha jakiejś, to się opamiętają i tu po niego zejdą, zabiorą go stąd i przywrócą na łono prawidłowej rodziny. Jednak tygodnie zamieniały się w miesiące, a w końcu nawet w lata i nikt po niego nie przyszedł.

Mógł się zgodzić, że na początku nie wiedzieli gdzie jest, ale potem, to już niemożliwe, dawał i dyskretnie, i bardziej ostentacyjne znaki swojej obecności. Czasem to były kuleczki z papieru i ze śliny, które wystrzelał za pomocą



słomki przez piwniczne okienko w nogi Adrianny stojącej na przystanku. Wtedy manifestacyjnie rozmasowywała trafioną łydkę, zerkała pogardliwie w jego kierunku po to tylko, żeby po chwili odwrócić się tyłem i udawać, że się nie znają. Raz udało mu się wystawić, przez to samo okienko, rękę na tyle daleko, żeby złapać ją za kostkę. Ach! Krzyknęła z oburzeniem, jak jakaś pieprzona damulka, potknęła się lekko, obrzuciła go spojrzeniem pełnym pogardy i, oswobodzwszy nogę kilkoma mało eleganckimi wierzgnięciami, ruszyła dalej przed siebie. Czasami widywał też Adama, wtedy stosował inne metody, wygwizdywał melodie, którymi bawił go w dzieciństwie albo na przykład krzyczał „Ał, ałala, złamałem nogę/rękę/rozbiłem głowę, jestem tutaj w piwnicy, nie mogę się ruszyć, pomocy!” Ale nic nie przynosiło skutku, chłopak był bez serca, zresztą po matce.

W końcu stało się to, czego można było się spodziewać. Zbyszek stracił kontrolę nad swoim życiem ze względu na alkohol, nałóg zaczął przejmować nad nim władzę, coraz częściej i na coraz dłużej nie przychodził do pracy, zaniedbał kwestie ubioru, higieny osobistej i odżywiania. Pił siedząc w kucki pomiędzy meblami, które kilka lat wcześniej sam zgromadził, odnowił i zagospodarował nimi wolną przestrzeń piwnicy. Coraz częściej za to zaczęli odwiedzać go zaniepokojeni sąsiedzi z góry, a to zatroskana sąsiadka przyszła podzielić się opłatkiem, zniosła mu trochę karpia w galarecie i podsumowała w niewybrednych słowach jego wyrodną „rodzinkę”, dopytywała, czy naprawdę nawet syn nie zszedł złożyć życzeń? A to sąsiad przyszedł obalić z nim pół literka, ponarzekać na swoją starą i ocenić, że dobrze sobie to Zbychu wykombinował, że z babami nie dojdiesz do porozumienia i może on też by tu z nim zamieszkał. A to studentka psychologii z trzeciego pisała o nim swoją pracę magisterską, więc zawsze przyniosła jakiś poczęstunek, posiedziała z nim chwilę jeszcze do towarzystwa, jak już zadała wszystkie pytania ze swojej ankiety. Próbował ją nawet swatać z Adamem, ale stracił w tej piwnicy poczucie czasu i zapomniał, że Adam ma już lat trzydzieści parę i choć nadal mieszka z matką, jest już za starym prykiem dla takiej panienki. Czasem ktoś, kto tylko zszedł po ziemniaki czy cebulę,

uprzejmie się do niego dosiadał, zagadywał, chwilę pogwarzył i łączył się z nim w niezrozumieniu dla świrniętej żony i dzieciaka. W sumie to miałby tam jak w uchu, z wyjątkiem sezonu zimowego, gdyby nie to, że zaczęła w nim rosnąć, a potem to już nawet nabrzmiewać samoświadomość.

Można by pewnie snuć domysły, że już od początku musiały się w nim lęgnąć uczucia winy, wstydu, pogardy dla siebie, no ciemne myśli w każdym razie. Ja przynajmniej tak przypuszczam, bo w przeciwnym razie próbowałby chyba powrotu. Z czasem jednak nawet postronny obserwator, sąsiad, który tylko by mu się uklonił w drodze po sanki ze swojej komórki, widział natychmiast jego rozpacz i samoudręczenie. Wdzierające się w duszę poczucie, że postępował nie po katolicku, jakby to pewnie ujęła jego matka, świeć Panie nad jej duszą. Stopniowo odmawiał przyjmowania pokarmów, nie nastawiał zimą farełki, którą mu zniósł sąsiad z parteru, nie starał się leczyć odparzeń ani odleżyn, na coraz dłuższe okresy tracił przytomność w ramionach najtańszego bełta, wybląganego w spożywczym. Kiedy znaleziono jego udręczone ciało, a sąsiadki zapłakały nad biedaczyskiem, to był też dzień, kiedy Adam powiedział Żan, że nie przyjdzie na urodziny Zuzi, bo mama niedomaga. Kiedy wracali z Adą ze spaceru nad morzem, akurat sanitariusz zatrząskiwiał drzwi karetki i pewnie nie dowiedzieliby się, kto w niej odjeżdżał, gdyby nie sąsiadka z pierwszego, która z pogardą splunęła im pod nogi.



XXVII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

---

# Maria Krzywda

godło „przekłuj\_balonik”

---

**III NAGRODA w dziedzinie prozy**

## **Maria Krzywda**

Absolwentka filologii polskiej, rosyjskiej oraz angielskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Publikowała prozę w *Fabulariach* oraz w czasopiśmie internetowym *Mega\*zine Lost&Found*, nominowana do nagrody głównej 15. Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania. Zdobyła II miejsce w XIV konkursie literackim *Powiew Weny* oraz wyróżnienie w VIII Ogólnopolskim konkursie im. Krystyny Kwiatkowskiej. Jako ilustratorka uczestniczy w projekcie *Fantazmaty*.

## J

Pomyślała, że to koniec i tak się stało – świat przestał istnieć. Nie tylko dla J.

Zaczęło się niewinnie. Żółw świata leniwie płynął w morzu gwiazd ku sobie tylko znanemu brzegowi, gdy dziewczynę nawiedził proroczy sen. Śniła o gwiazdach ostrych jak kolce jeżowca. Następnego dnia na brudny, rdzawy piach morze wyrzuciło miliony martwych ostryg, a słony zapach ustąpił dusznemu odorowi zgnilizny.

\*

J lubiła czuć sól w powietrzu – towarzyszące jej drobne ukłucia w płucach i szczypanie w uszkodzone przy krojeniu cebuli palce. Przygotowywanie posiłków należało zresztą do obowiązków dziewczyny – Starucha nie cierpiała tej czynności jak żadnej innej. Dla J gorszy był smak. Dzień w dzień stawiała na stole dużą, rzeźbioną miskę, wypełnioną po brzegi plasterkami znieawidzonego warzywa, wymieszanych z równie znieawidzonymi glonami oraz pokąsną garścią pokrzyw lub innego zielska, które udało się jej zebrać na pobliskich wzgórzach. Przyprawiała wszystko sporą dawką suszonych meduz utłuczonych w moździerzu w nadziei, że uczynią potrawę nieco mniej ohydną.

W ogrodzie oprócz cebuli nic nie chciało rosnąć. Żółcące się główki wystające z suchej ziemi napawały J obrzydzeniem. Sad przestał owocować, jeszcze zanim dziewczyna zaczęła pamiętać. A potem marchew i ziemniaki zastąpiła cebula – na śniadanie, obiad i kolację. W cudzych ogrodach nie było nawet tego. „Ścierniska i ugory, to po nas zostanie” – mówiła Starucha, z zapamiętaniem dźgając widłami spękaną ziemię.

Obie tęskniły za aromatem wędzonej ryby i miękkimi słodkimi małżami podawanymi z górą ziemniaków. Kiedyś wymieniały warzywa

na owoce morza. Teraz ani one nie miały warzyw na wymianę, ani rybacy ryb.

Niedługo po śnie J o jeźowcach, Starucha zaczęła kaszleć. Z każdym dniem napady stawały się coraz częstsze i coraz dłuższe.

– Zo-staw... mnie... – Dłonie Staruchy jak szpony zaciskały się na tym, co akurat miała pod ręką. Zgięta w pół z trudem łapała oddech. – Zo-staw... to... nic... – charczała i patrzyła na J nabiegłymi krwią oczami. – Nie po... nie po-mo-żesz, je... żo-wcu.

Na dzień przed śmiercią Staruchy J przyśniło się, jak prastary żółw zabiera jej towarzyszkę na grzbiet i odpływają w dal, w głębokie, usiane ostrymi gwiazdami niebo. Kiedy tylko otworzyła oczy, wiedziała, że Starucha odeszła.

Znalazła ją w bujanym fotelu na werandzie. Na niebie gasła Żółwia Gwiazda, ustępując miejsca szarościom świtu. J usiadła na schodkach i zapatrzyła się w horyzont. Popchnęła nieznacznie bieguny fotela, wprawiając go w ruch, i przez chwilę wyobrażała sobie, jak razem ze Staruchą patrzą na szumiące śpiwnie morze.

Potem wstała, weszła do domu i ciężkim krokiem wspięła się na piętro. Omiotła wzrokiem skromnie umeblowany pokój Staruchy, zajrzała do szafy – na drążku wisiało kilka sztuk odzieży, w kącie leżała para zniszczonych butów i słomkowy kapelusz.

Żadna z nich nie miała wiele, a J na pewno przydałyby się rzeczy przyjaciółki. Nie potrafiła się jednak zdobyć na opróżnienie szafy. Zabrała tylko kolorową narzutę na łóżko, którą razem uszyły, i stary kilim przedstawiający konstelację Żółwia. Był wyjątkowo brzydki i zniszczony. Wyhaftowane srebrną nicią gwiazdy dawno utraciły blask. J otworzyła okno, zostawiając pokój na pastwę soli, i zamknęła drzwi na klucz. Wkrótce wszystko to pokryje biała skorupa, pomyślała bez żalu.

Zeszła po skrzypiących schodach. Fotel ze Staruchą kołysał się jękliwie, uderzany podmuchami wiatru, które niosły znad morza fetor zgnilizny. J poprawiła szal na ramionach zmarłej, po czym zdjęła z jej szyi wisior z idealnie

okrągłą perłą uwięzioną w plecionce z jutowego sznurka. Podniosła ją do poziomu oczu. Była dziwnie szklista i kremowomleczna jednocześnie. J ogrzała perłę w dłoni – pachniała morzem i wolnością, ławicami srebrzystych ryb, otwartą przestrzenią i powietrzem po burzy.

\*

Wykopanie płytkiego grobu zajęło J dwa dni. Starucha czekała spokojnie w bujanym fotelu na werandzie, który kołysał się nieznacznie w przód i w tył. Jakby mówiła: nie spiesz się, jeżowcu, ja poczekam. Kryształki soli pokryły jej paznokcie, włosy i rzęsy.

– Wyglądasz teraz jak prawdziwa starucha – powiedziała J i pogłaskała przyjaciółkę po policzku.

Warstwa soli była już na tyle gruba i ciężka, że J nie dała rady unieść Staruchy. Przywiązała więc najmocniejszy sznur, jaki znalazła w domu, do biegunów fotela i rozpoczęły razem ostatnią wędrówkę.

Dół okazał się za szeroki i za krótki. Kiedy jednak J ułożyła w nim Staruchę w pozycji embrionalnej, zrozumiała, że był dokładnie taki, jaki powinien być. Twarz przyjaciółki wyglądała na spokojną i szczęśliwą. Jak wtedy, kiedy czytała pogodę na klifach, pomyślała J. Poczula, że wybrała dobre miejsce.

W wiosce wielu potrafiło czytać pogodę, niewielu jednak dorównywało Starusze. Za jej życia razem z J codziennie przed świtem szły do opuszczonej latarni, wspinały się po trzeszczących stopniach i wywieszały flagę – granatową jak niebo, na którym gwiazdy wskazują drogę do domu w bezchmurną noc, albo czerwoną, jak krew rybaków porwanych przez morze podczas sztormu. J lubiła obserwować Staruchę, kiedy z zamkniętymi oczami i otwartymi dłońmi słuchała świata – złote piegi ciemniały na jej policzkach, rude włosy tańczyły wokół głowy, niezależne od słonych podmuchów. Z kobiety emanował spokój. Jakby była częścią czegoś większego, należała nie tylko do siebie, myślała w tych chwilach J. A potem Starucha otwierała oczy i mówiła:

– Połów będzie obfity. Granatowa flaga, jeżowcu.

Uśmiechnięte wracały do domu; dwie szczupłe sylwetki popychane wiatrem. J pokręciła głową, odganiając wspomnienia. Tego dnia czekała ją samotna droga na klify.

Kiedy dziewczyna dotarła na miejsce, zdecydowanym ruchem pchnęła zniszczone drzwi i weszła do środka. Poznaczona plamami soli flaga zwisała smętnie z tarasu latarni. Kolor wyblakł, po krwistej czerwieni widocznej z daleka nie został ślad, materiał rozpadał się w palcach. Tak jakby to Starucha sprawiała, że opierał się morskim wiatrom, pomyślała J. Poczowała pustkę rosnącą lepką gulą w gardle. Chwyliła barierkę i zanim zdążyła się wychylić, zwymiotowała. Wytarła usta flagą, zwinęła materiał w kulę i cisnęła w morze.

J musiała przyznać sama przed sobą, że ze zdrowiem Staruchy zaczęło dziać się coś niedobrego, na długo zanim Wyspę nawiedziła fala sztormów. Pionowa zmarszczka wyraźnie rysująca się na czole, grymas bólu przebiegający przez twarz uderzoną wiatrem, nieobecny wzrok – z pozoru nieistotnych drobiazgów z czasem tylko przybywało. Nie pomagało, że ludzie z wioski zaczęli odnosić się do nich z coraz większą niechęcią. Nazywano je zwiastunkami sztormów. Starucha krzywiła się za każdym razem, słysząc to określenie.

– Nie wywieszajmy dzisiaj flagi – zaproponowała któregoś dnia J. – I tak wszyscy wiedzą.

– To nasz obowiązek, jeżowcu. Decyzja o wypłynięciu w morze nie należy do nas.

Teraz to i tak nie ma znaczenia, pomyślała J i zapatrzyła się na morze rozbryzgujące brudną pianę u podnóża klifów. Niebo pociemniało.

– Pora wracać – mruknęła.

Nad grobem kołysał się pusty fotel. J usiadła na nim cicho i objęła się ramionami. Usnęła razem z zapadającym zmierzchem. Kiedy spała, u stóp dziewczyny nieśmiało wykiełkowały jasnozielone pędy.

\*

Roślina rosła szybko. J każdego ranka odkrywała nowe pąki, które do wieczora przeistaczały się w duże pięciopalczaste liście, przypominające jej dłonie zmarłej przyjaciółki. Wkrótce zakryły całą połąć świeżo usypanej ziemi. Pojawiły się kwiaty. Jakby ktoś rozsypał na zielonym dywanie garść pereł, pomyślała J, patrząc na mlecznobiałe, idealnie okrągłe pączki. Nie było pszczoł. Nie było żadnych owadów. A jednak J wiedziała, że roślina zawiąże owoce.

J zawsze myślała, że magia otaczająca Wyspę jest naturalnym stanem rzeczy, i nie sądziła, że może jej kiedykolwiek zabraknąć – oczywista i wszechobecna jak sól w wodzie, ziemi i powietrzu krążyła w żyłach mieszkańców; po ich śmierci wykwitwała kryształkami soli na grobach, przesycala powietrze i wraz z nim wracała do krwiobiegu żywych.

Ze śmiercią Staruchy coś się jednak zmieniło. Jakby rachunek przestał się zgadzać. Nocą Wyspa wydawała niezadowolone pomruki, słyszalne mimo zawodzenia wiatru, nieustannie próbującego wedrzeć się do wnętrza chaty. Rano okna pokrywała gruba warstwa bieli, której zeszkobanie zabierało J z każdym dniem coraz więcej czasu. Jak ślady po pąklach, myślała i skrobała dalej. Mimo jej wysiłków dom szybko zaczął przypominać solny zamek.

Albo kolec, stwierdziła J, patrząc na rosnącą czapę soli na dachu.

„Nic dobrego z tego nie będzie” – mówili mieszkańcy wioski, kiedy kupowała na targu wodorosty. – „To zły znak, dziewczyno. Uciekaj stamtąd, póki czas” – ostrzegali.

Nie mogę zostawić Staruchy, tłumaczyła J.

„Jej kości już dawno zamieniły się w sól. Uciekaj, póki możesz, dziewczyno” – odpowiadali, spoglądając ukradkiem w stronę, z której przychodziła. Solną iglicę widać było z daleka.

Morze wyrzucało na brzeg coraz więcej martwych ostryg i jeżowców. Z połowów rybacy wracali ze zniszczonymi sieciami i poranionymi ostrymi



muszlami rękoma. Szepty i niechętnie spojrzenia zamieniły się w złorzeczenia i przekleństwa. Gdy J szła przez wioskę, dorośli odwracali się do niej plecami, jakby dziewczyna nie istniała, dzieciaki rzucały za nią kamieniami.

\*

Spodziewała się, że przyjdą pod osłoną nocy. Zjawili się o świcie. Wywlekli J na podwórze i zmusili do oglądania ponurego spektaklu zniszczenia. Gardłowe krzyki i wrzaski mieszały się z odgłosami pękającego drewna i hukami upadających ścian. Iglica przewróciła się i rozpekła na wiele odłamków. Czubek wrył się w grób Staruchy, miażdżąc roślinę i zawiązki owoców.

Nigdy się nie dowiem, co na tobie wyrosło, pomyślała J, odwracając wzrok.

Słone drzazgi raniły kilkoro mieszkańców wioski. Krew, wsiąkająca w ziemię i w sól, nadała powietrzu metaliczny posmak.

J nie rozumiała, jak martwe przedmioty mogą wzbudzać taki gniew. Kiedy patrzyła na połamane bieguny starego fotela, dotarło do niej, że przecież mogą wzbudzać miłość. Wcześniej to oczywiste powiązanie nie przyszło jej do głowy. Skoro ona mogła ten dom kochać całym swoim jestestwem, to mieszkańcy wioski mogli przelać na niego całą swoją nienawiść i strach.

Gdy było po wszystkim, puścili J, a ona opadła na ziemię jak pusta muszla.

– Nie pokazuj się w wiosce – rzucili na odchodnym.

J patrzyła na ruiny domu i zastanawiała się, czemu ją oszczędzili. Przez wzgląd na Staruchę? Pokręciła głową. Nie, to by było za proste. Nie wiedzieli, jak na zabicie J zareaguje Wyspa. Gdyby tylko mieli pewność, że wioska nie ucierpi, nie zostawiliby jej żywej.

Starucha znalazła J lata wcześniej na plaży po sztormie, leżącą wśród martwych jeżowców u wejścia do Żółtwej Pieczary.

– Dlaczego mnie przygarnęłaś? – spytała kiedyś J.

– Tak chciała Wyspa – usłyszała.

– Przecież mogłaś mnie zostawić, morze by mnie zabrało. Nikt by się nie dowiedział – nie dawała za wygraną J.

– Nie wolno sprzeciwiać się Wyspie – odpowiedziała Starucha, uznając temat za wyczerpany.

J wróciła myślami do terażniejszości. „Nie wolno sprzeciwiać się Wyspie”. Jedyna zasada, której nikt nie śmiał zakwestionować. Skoro Wyspa darowała J życie, nikt z mieszkańców nie miał prawa go odebrać. Nie własnoręcznie, pomyślała gorzko.

Podeszła do grobu Staruchy. Oceeniła, że czubka iglicy nie da rady przesunąć i zabrała się za odgarnianie solnego pyłu i mniejszych kryształów. Myśli dziewczyny same uciekły do przeszłości.

– Dlaczego wołają na ciebie Starucha? – spytała pewnego razu.

– Bo mam dużo więcej lat, niż ci się wydaje.

– To żadna odpowiedź – zaprotestowała J.

– Innej nie dostaniesz, jeżowcu. Idź, narwij pokrzyw, i jakby ci się udało znaleźć jakieś grzyby... – powiedziała Starucha z nadzieją w głosie.

– Tak, na pewno. Ostatnio widziałam dorodną kępę muchomorów przy zagajniku – odpowiedziała J i z westchnieniem sięgnęła po koszyk.

Kosz był już pełen soli. J podniosła się powoli i cisnęła go z całej siły na rumowisko. Tak nigdy nie oczyści grobu. Zaczęła grzebać wśród połamanych desek, kamieni i wszechobecnej bieli. Ześlizgnęła się po pękniętej ramie okna i wylądowała wśród odłamków szkła.

– Niech was mureny rozszarpia! Niech was, niech was... – głos uwiązał jej w gardle; szarpnęła ręką, rozcinając sobie skórę. Kopnęła na oślep najbliższy przedmiot, uruchamiając lawinę soli i gruzu. Potem długo leżała bez ruchu i wpatrywała się w niebo. Otrzeźwiła ją dopiero pierwsza kropla deszczu.

– Dziękuję – wyszeptala, sama nie wiedząc do kogo.

Podwórze wkrótce zamieniło się w słone bagno. Pod wieczór na grobie Staruchy została już tylko solna iglica, pożłobiona strużkami wody.

Dałabym radę ją przesunąć, pomyślała J. Jednak z jakiegoś powodu nie czuła już takiej potrzeby. Woda wsiąkała w wyschniętą ziemię, przemieniając sól w kryształowy kobierzec, ozłocony rudym jak piegi Staruchy słońcem.

Ręka J mimowolnie powędrowała do perły zawieszanej na szyi. Przez chwilę wydawało się jej, że czuje dziwne trzepotanie pod sercem.

– Poczekaj tu chwilę – powiedziała w stronę grobu i zaczęła okrążyć rumowisko. Wróciła z dekoracyjną kapą, na wysychającej tkaninie sól namalowała wzory, których najrzęczniejsza hafciarka nie byłaby w stanie wymyślić, a co dopiero wyszyć. J złożyła materiał na czworo i wsunęła delikatnie w szeroką szczelinę u podnóża iglicy. Odeszła, nie oglądając się za siebie.

\*

Żółta, cuchnąca piana monotonicznie uderzała o skały. Z Żółtwej Pieczary sączyła się strużka brunatnej wody. J nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała w okolicy zwierzęta. Jeśli kiedyś coś zamieszkiwało jaskinię, nie pozostawiło po sobie nawet szkieletów.

– Tu zaczęła się nasza wspólna historia, Starucho – powiedziała do skrzącego się gwiazdami nieba. Usiadła na piasku, pozwalając brudnej wodzie obmywać pokaleczone ciało. Chłód przynosił ulgę.

Wróciły do niej słowa usłyszane w dzieciństwie. Zapytała, dlaczego nie dostała całego imienia. „Nie znam ciągu dalszego. Znam tylko twój początek”, odpowiedziała Starucha. „Jesteś jak jutro, jeźwcu”.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko. Nic wtedy nie zrozumiała.

– Dziękuję ci za wszystko – powiedziała głośno. Wysupłała perłę z plecionki, chwilę potrzymała na dłoni, po czym wsunęła do ust. Połknęła. Zagrzebała ręce w piasku aż po łokcie, sięgając myślami prastarej skorupy.

– Śpij, nie martw się światem. Stworzę go na nowo.

Poczuła, jak ziemia delikatnie drży.

– Śpij – powtórzyła. – Ona już czeka.

Prastare powieki opadły powoli, ukrywając gasnące źrenice.  
J wstała i weszła do wody. Gdy fale sięgnęły jej ramion, zaczęła płynąć.  
Miała nadzieję, że prąd zanieśie ją daleko.



XXVII Konkurs literacki

# Krajobrazy Słowa

---

## Anna Siecla

godło „lavendova”

---

### WYRÓŻNIENIE w dziedzinie prozy

#### Anna Siecla

Absolwentka filologii polskiej, pedagogiki i dziennikarstwa z public relations na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 2018-2019 pracowała w lokalnym tygodniku, gdzie pisała o bieżących sprawach kilkudziesięciotysięcznej gminy Rawicz. W maju 2018 r. zdobyła główną nagrodę w ogólnopolskim konkursie literackim *O Laur Dziewina*, a w listopadzie I miejsce w konkursie *O pióro Reymonta*. W styczniu 2019 r. publikowała z bydgoskich *Fabulariach*. Jej tekst pt. *Co wydarzyło się w Zalesiu* pojawił się na łamach Kwartalnika Literackiego WYSPA. W swoich pracach koncentruje się na przedstawieniu społeczności wiejskich i małomiasteczkowych. Obecnie mieszka i pracuje we Wrocławiu.

## Jak uszczypnie, będzie znak!

Marek był pewien, że jeśli to się stanie, nie ożeni się po raz drugi.

Nie z egoizmu albo dlatego, że Malwina była tą jedną na kilka miliardów ludzkich istnień. Był po prostu zmęczony. Zmęczony wyszarpywaniem z jej życia każdej kolejnej chwili, jeszcze jednego uśmiechu, wmuśzania w nią choć paru łyżek tego okropnego medycznego żarcia, które rzekomo miało jej pomagać w powrocie do zdrowia.

Dowiedzieli się w Wigilię. Raczej słabo, że akurat wtedy. Telefon zadzwonił pięć minut przed południem, gdy Malwina stała przy kuchence, na której w garnku gotowała się zupa grzybowa, na patelni skwierczał łosoś, a w piekarniku dochodził makowiec. W tym czasie Marek kolorowymi lampkami próbował ozdobić balustradę balkonu. Kupił różnobarwne ledy u znajomego pana Heńka z bazarku przy Przemysłowej, kompletnego fanatyka elektroniki i Świąt Bożego Narodzenia. Lampki choinkowe i ozdoby można było u niego nabyć nawet latem, a on niezmordowanie przez dwanaście miesięcy w roku przeglądał katalogi świąteczne w poszukiwaniu nowinek, a poza tym – chciał być szybszy od konkurencji, to znaczy móc sprowadzić taki towar, jakiego na bazarku żaden sprzedawca nie mógł jeszcze zaoferować klientom. Marek zdecydował się na klasyczne, mrugające światełka, choć pan Heniek kręcił nosem, że to nuda i on poleca mu absolutnie odjazdowe niemieckie lampki mieniące się w takt kolędy „Cicha noc”. – Nie ma dyskoteki, a epileptycy mogą być spokojni, bo to powolna pieśń – tłumaczył tonem znawcy, który na lampkach zjadł zęby.

Choć było już zdecydowanie późno na takie przygotowania (Walewscy spod trójki mieli migający balkon od trzech tygodni, a Bardzińscy od dwóch), nie spieszyl się. W tym roku zapowiadało się, że spędzą święta

tylko we dwójkę, bo Ewa zadzwoniła, że jednak nie da rady wrócić, ale zaraz obiecała, że postara się wpaść na Wielkanoc.

Telefon, który zadzwonił pięć minut przed południem, odebrała Malwina. Z balkonu miał świetny widok na przedpokój, w którym stała z chochłą w jednej ręce i słuchawką w drugiej. Marek słyszał, jak dziwnym, zmienionym głosem mówi: „Dobrze, rozumiem”, stwierdza, że może przyjechać właściwie zaraz, a potem uprzejmie dziękuje za wiadomość i kończy połączenie. Sekundy później wiedział już, że żadnej Wigilii nie będzie – przynajmniej nie w takiej formie, jaką dotychczas kultywowali. „Pani Malwino, bardzo mi przykro, ale leczenie trzeba wdrożyć możliwie jak najszybciej. Nie ma chwili do stracenia.” – powtórzyła mu słowa lekarza prowadzącego Malwina. Brzmiało, jakby profesor mówił o kimś innym, jakby nastąpiła absurdalna pomyłka, bo przypadkiem wykręcił nieprawidłowy numer telefonu.

Nie wiedział nawet, że miała robioną jakąś biopsję. Co to dokładnie jest ta biopsja? – zachodził w głowę. Wiedział tylko, że to badanie, którym wykrywa się raka. Zawsze ta informacja mu wystarczała. Kiedy ktoś mówił, że miał biopsję, ze współzuciem kręcił głową, życzył dużo zdrowia i na tym się kończyło. Ta cała biopsja była zawsze zbyt daleko, by trzeba było czegokolwiek się o niej dowiadywać.

Ginekolożka podczas ostatniej kontroli wymacała jej guzek w prawej piersi. Taki mały, pani Malwino, a może to jakiś tłuszczak, nie można martwić się na zapas – mówiła i Malwina nawet o tym zapomniała. Przypomniał jej profesor i to z grubej rury. Walnął ją słowami jak obuchem w głowę. Nagle musiała zacząć się martwić, ale tym razem na prawdziwo, bo podobno, jak łagodnie tłumaczyli, nie było czasu do stracenia. Malwina i Marek zostawili te niemieckie ledowe lampki, łośoś nieruszony leżał na patelni i stygł.

Szpital.

Po operacji bał się jej dotykać; nie był pewien, czy w ogóle może. Ona ciągle płakała. W miejscu, gdzie powinna być prawa pierś, kawałek jej ciała

stał się płaski niczym równina. Przyjrzał się „temu” krótko, podobnie jak bliźnie. Nie mówił nic, bo nie wiedział, co. Przecież nie powiedziałby, że ciągle jest piękna, ani że wszystko będzie dobrze, bo za to drugie stwierdzenie oboje mogliby zabić. Tak mówiła Ewa, kiedy dzwoniła i doskonale widział, że Malwina odsuwa wtedy od ucha słuchawkę.

Ewę mieli z Malwiną wcześniej, jeszcze jak sami byli dziećmi i nie mieli pojęcia, co zrobić z życiem. Los stwierdził, że czekać nie będzie i sam zdecydował. Podarował im maleńkie, wierzące się, rozwrzeszczane stworzenie, które domagało się mleka, troski i zmiany pieluch. Dali temu maleństwu na imię Ewa, co nie wiązało się z żadną tradycją w rodzinie, nieszczególnie długo też zastanawiali się nad wyborem.

Ewa, już teraz dorosła kobieta, lat prawie dwadzieścia, co jakiś czas wysyłała kartki z Portugalii, gdzie studiowała i mieszkała od przeszło roku. Odkąd się dowiedziała, codziennie, jeśli Malwina miała siły, rozmawiały przez komunikator video i Messenger. Opowiadała, jak jej tam dobrze, chwaliła się sukcesami, współczuła ojcu, życzyła zdrowia matce, dodawała na koniec, że obrigada za wszystko i się rozłączała, a ekran komputera zalewała czernią. Marek nie mówił tego głośno, ale dla niego te życzenia i rozmowy były jak o kant dupy potłuc.

To nie córka musiała znosić humorki Malwiny, jej krzyki i płacz. To nie ona była przy matce, gdy ta z wbitym w lustro tępyim spojrzeniem wyciągała z kolorowego turbana swój ostatni włos.

Chemia była jak podwójne standardy – niby sojusznik, ale na dłuższą metę nie do zniesienia. Robiła dobrze kosztem nieprzespanych nocy albo spania non stop. Im dłużej Malwina była chora, tym bardziej robiła się nieznośna.

– Nic się mną, kurwa, nie interesujesz – wybuchała bez powodu. – Co tak siedzisz, wodę mi podaj – wykrzywiła okropnie twarz, a on usilnie się w nią wpatrywał, próbując znaleźć w tej kobiecie jakiegokolwiek oznaki Malwiny, którą kochał, która dawała mu jeść, kładła mu dłoń na policzku zanim zasnął i z którą do utraty tchu śmiał się z tego odcinka „Przyjaciół”,



w którym Ross starał się zrobić Rachel makijaż. Czasami, gdy kolejny raz dostawała nieuzasadnionego napadu wściekłości na cały świat, miał nadzieję, że sam oszaleje i w końcu też go zamkną w szpitalu i nie będzie musiał dźwigać na swoich barkach tego wszystkiego, czego dźwigać nie miał wyboru.

Pani Stenia spod piątki przychodziła do Marka, nie wiadomo dlaczego, zazwyczaj w środy.

– Masz, zrobiłam rosółek. Daj Malwince – mówiła. – Jak zje rosółek, to na pewno wyzdrowieje – i przekonana o słuszności swojej tezy wręczała mu słoik z zawieszistą, żółtawą zupą, w której pływały lane kluski. Powstrzymał się od komentarza, że po zjedzeniu choć odrobiny tego rosółku Malwina mogłaby zarzygać co najmniej pół oddziału. W zamian, z targającymi nim wyrzutami sumienia, wmuszał w żonę śmierzdzące, zmiksowane papki.

Zresztą nauczył się, że nie wszystkie rzygi są aż takie złe. Poznawał po zapachu, kolorze i konsystencji. Podczas leczenia chemią to było normalne, że się rzyga. Po kilku miesiącach potrafił po oczach poznać, kiedy podłożyć Malwinie kaczkę pod brodę. Choć bywało, że nie zdążył i zaczynało się przebieranie pościeli i koszuli nocnej. Wtedy kazała mu wychodzić. Wstydziała się swojej nagości.

Czasami, jak już oboje nie mieli siły, spędzał przy niej co najwyżej pół godziny. Pytał, czy jest lepiej, czy boli mocno lub tylko trochę, czy niczego nie potrzebuje i wracał do pustego mieszkania, by nieco popracować.

Z pieniędzmi nie było aż tak źle. Marek pisał. Tworzył teksty dla ludzi przekonanych, że jego głowa stworzona jest do wymyślania zdań, które powalą innych na kolana. Czuł, że nie do końca tak jest, ale ostatnie wykonane zlecenie nawet jemu samemu się podobało. Napisał teksty na zdrapki, w których do wygrania były różne drobne nagrody – od garnków po elektrobudziki. Odkąd tylko dostał to zlecenie, Marek myślał sobie, jak dobrze byłoby mieć taką zdrapkę i stanąć przed szansą zdrapania wszystkich dostępnych przerzutów, a w ten sposób zdobyć jedyną nagrodę, jakiej pragnął – zdrowie żony.

Po takich nadzwyczaj krótkich wizytach u Malwiny najczęściej wpadał nie kto inny jak Stenia. Wyglądało na to, że od rana nie zajmowała się niczym innym, jak wyglądaniami przez wizjer. Ale lubiła Malwinę i Marek wiedział, że sąsiadka nie przychodzi kierowana wścibstwem, a po prostu się martwi. Zamiast prawdy, podobnie jak Malwinie, mówił Steni to, co chciała usłyszeć. Że wszystko dobrze, że lekarze są dobrej myśli, że przecież takiej dobrej kobiety byłoby szkoda i na pewno jeszcze nie przyszedł jej czas. Czasami miał Steni, podobnie jak całego świata, zwyczajnie dość. Wielokrotnie układał sobie w głowie, co jej powie, kiedy znowu zapuka i będzie chciała wiedzieć, co z Malwiną. W zanadrzu miał nawet formułkę, którą ćwiczył przed lustrem, kiedy się golił. „Pani Steniu” – planował zza obłoków piany i wyobrażał sobie, jak daje do wiwatu sąsiadce. – „Jest pani dobrą, uczciwą kobietą i robi pani wspaniałą sernik. Ale na miłość boską, proszę się nie wpierdalać!” Nie powiedział jej tego nigdy. Zamiast tego słuchał, jak seniorka krząta się po mieszkaniu i oddziela białe ubrania od kolorowych, wkłada naczynia do zmywarki, traktuje parą i wysoką temperaturą jego koszule w różnych odcieniach niebieskiego. Miał ich – jak policzył niedawno – równo piętnaście. Sześć błękitnych, dwie kobaltowe, cztery granatowe, jedną stalową i dwie szafirowe.

– Pani Steniu, nie musi pani tego robić – próbował protestować, gdy widział, jak wywala na wierzch kieszenie jego jeansów w poszukiwaniu drobnych monet, chusteczek lub drobiazgów, które wyjmowało się przed włożeniem ubrań do pralki.

– Prześpij się – odpowiadała tylko. – Za półtorej godziny będzie obiad.

Nie spał. Leżał z zamkniętymi oczami i wyobrażał sobie, co by było, gdyby Malwina odeszła od niego, albo on od niej. Z pierwszym było łatwo – był przekonany, że nie ożeniłby się powtórnie. Drugi scenariusz, jak na przekór, nie kleił mu się w głowie. Rzucić wszystko i co? Jak żyć ze świadomością, że ona walczy sama, stara Stenia nie ma komu prac, a Ewa i tak by nie wróciła?

Nagle trzasnęło, jakby w sam środek mieszkania uderzył meteoryt tunguski. Marek brutalnie wyrwany z półsennego otępienia pobiegł w stronę źródła hałasu. W sypialni przerażona Stenia zbierała z podłogi prześciera-  
dła, obrusy, firanki i... kasety VHS.

– Bardzo przepraszam, zaraz to wszystko posprzątam... Sięgałam tylko po świeżą pościel.

On sięgnął po najbliższej leżącą taśmę, na której dużymi literami napisał prawie dwadzieścia lat temu drukowanymi literami: „EWA”.

Jeszcze zanim magnetowid połknął kasetę, Markowi już szklily się oczy. Ewa, lat trzy, stała na środku pokoju i szczyrzyła się do obiektywu kamery.

– No, Ewcia, powtórz po mamie – dobiegło z głośnika. Marek prawie nic nie widział, bo łzy zamazywały mu obraz.

– Idzie lak niebolak, jak uscypnie, beńdzie znak!





XXVII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

---

# Zbigniew Musiał

godło „Żak”

---

**WYRÓŻNIENIE w dziedzinie prozy**

## **Zbigniew Musiał**

Urodzony w Kluczborku. Mieszka w Opolu. Z wykształcenia inżynier inżynierii biomedycznej. Po 12 latach pracy w szpitalu, został specjalistą tomografii komputerowej w firmie Siemens. Od dzieciństwa zainteresowany muzyką i literaturą. Był członkiem kilku amatorskich zespołów muzycznych. Jego własna twórczość ogranicza się do niewielu nigdzie nie publikowanych piosenek oraz krótkich utworów poetyckich i prozatorskich.

## Pies

Teraz żyję już spokojnie. Najważniejszego nauczyłem się od Reksa w jednej, wyjątkowej, dramatycznej chwili. W zasadzie przypomniał mi wtedy o tym, o czym tak dobrze wiedziałem. Zapomniałem. Zagubiłem to w sobie, bo myślałem, że lepiej wiem i rozumiem. Teraz zamilkłem. Chodzę do kościoła, w którym mnie ochrzczono i modłę się tak, jak nauczyła mnie mama. Nikogo nie osądzam. Staram się być dobry dla ludzi. Pomagam, gdy proszą. Słucham, gdy mówią.

\*

Byłem księdzem. Rzymskokatolickim. W zasadzie wciąż jestem księdzem, bo ponoć nie można przestać nim być. Nie ma to już jednak większego znaczenia. Ale zacznę od początku.

Jak wielu z was, szukałem prawdy i sensu. Dorastałem w tym dziwnym świecie, nie godząc się z tym, co widzę. Wojny, niewinni ludzie mordowani, paleni żywcem, torturowani, małe dziewczynki gwałcone i sprzedawane. I wszystko dlatego, że ktoś chce zarobić jeszcze więcej, choć już dławi się swoim bogactwem. Ponoć wyliczono, że średnio co pięć sekund gdzieś na świecie ktoś umiera w męczarniach, wyjąc z bólu i poniżenia, wołając do Boga o pomoc, która nie nadchodzi. Co pięć sekund, to jakby przy każdym moim oddechu. Gdy zasypiałem, nawiedzały mnie wtedy takie wizje, że to właśnie ja, mój oddech powoduje te cierpienia: biorę wdech, a tu jakiś pijany żołnierz podcina powoli kobiecie gardło, podczas gdy jego koledzy gwałcą jej dziesięcioletnią córeczkę. Wydech, a związany, zmasakrowany ojciec, który chciał ich bronić, zostaje wrzucony do dołu i zakopany żywcem. Podświadomie próbowałem nie oddychać. I budziłem się nagle w bezdechu i charcząc łapałem łapczywie powietrze.

Jako nastolatek zrozumiałem, co mam robić. Nie mogłem nic poradzić na te straszne, bezsensowne nieszczęścia. Musiałem zająć się swoim własnym życiem. Wiedziałem, że muszę być dobrym człowiekiem, że razem z innymi dobrymi ludźmi na pewno zdziałamy wiele w naszym najbliższym świecie. Tyle możemy. Może niewiele, ale to lepsze niż płkanie nad całym złem świata. Szukałem tych dobrych ludzi w naszym kościele. Znalazłem wielu. Szybko okazało się jednak, że wielu z nich wyrażało swoją dobroć w dość szczególny sposób: Zegarmistrz odkupował za bezcen stare, stylowe zegarki mówiąc, że są bezwartościowe. Ogrodnik w podziękowaniu za to sprzedawał mu truskawki tak nawożone, że własnej rodzinie zabraniał zbliżać się do plantacji. A agent ubezpieczeniowy polecał im obu, po znajomości, kiepskie polisy za podwójną cenę. I wszyscy oni ściskali się w kościele, przekazując sobie znak pokoju i wracali po przyjęciu Komunii Świętej z pokornie schyloną głową i ręką na sercu. Na ten widok robiło mi się niedobrze.

Zwątpiłbym już chyba we wszystko i w Boga samego, gdyby nie grupa oazowa, którą poznałem. Szczególnie moderator naszej grupy, Marek, zrobił na mnie wielkie wrażenie. Był prostolinijny i prawdomówny, nie wstydział się publicznie okazywać swojej wiary, chociaż wyśmiewali go w szkole. Zawsze można było na niego liczyć. Gdy było trzeba, poświęcał dla nas swój czas. Był radosny pomimo swoich poważnych problemów rodzinnych i zdrowotnych, a jego modlitwy były tak szczerze, głębokie i zarazem tak ludzkie i proste, że zadziwiały mnie za każdym razem. To była prawdziwa oaza prawdy i sensu w tym zakłamanym, okrutnym, szatańskim świecie.

Była w naszej grupie też Marta. Drobna dziewczynka z długimi, jasnymi włosami. Była szalenie skromna. Prawie nigdy nie patrzyła nikomu prosto w oczy. Wypowiadała się zawsze cicho, melodyjnym głosem. Była śliczna. I wszystko, co robiła, było urocze: sposób, w jaki się uśmiechała, poruszała, poprawiała włosy, nieśmiało machała ręką na pożegnanie. Z początku nie miałem odwagi, żeby do niej podejść, odezwać się do niej, ale okazja nadarzyła się sama. Marek poprosił nas, żebyśmy razem przygotowali

ramowy program na nocne czuwanie. Zostaliśmy w salce katechetycznej, żeby to omówić. I tak się to zaczęło. Byłem zauroczony, a ona, przymykając często z zażenowania powieki, uśmiechała się i dawała mi odczuć, że lubi ze mną rozmawiać. Zaczęliśmy spotykać się częściej. Zazwyczaj w salce katechetycznej, ale pozwalała też, żebym czasami odprowadził ją po szkole do domu. To były dla mnie cudowne chwile. Kiedyś nierozsądnie spróbowałem chwycić ją za rękę. Odsunęła się zmieszana, ale po chwili uśmiechnęła się i powiedziała, patrząc mi tym razem prosto w oczy, że przyszedł czas, żebyśmy o tym poważnie porozmawiali. Rozmowa odbyła się nazajutrz na ławce przy kościele. Powiedzieliśmy sobie wszystko o naszych uczuciach, przywiązaniu, naszych wzajemnych oczekiwaniach, ale i o zasadach, których przestrzegamy we wspólnocie. I ze łzami w oczach przysięgliśmy sobie przyjaźń, która, jeżeli Bóg da, może stać się prawdziwą miłością i że nie pozwolimy zepsuć tego naszego czystego uczucia nawet pozorem zła, zbytym zbliżaniem się do siebie, dotykiem, czy – broń Boże – pocałunkiem. Na przekór demoralizacji i zepsuciu świata. To wszystko nie było nam potrzebne. Byliśmy parą wolnych duchów, ufających Bogu i sobie, i bezgranicznie szczęśliwych. Tamtej nocy nie mogłem zasnąć, tym razem nie z powodu koszmarów. Teraz każdy mój oddech mówił: „Kocham cię miłością czystą i tak już będzie na wieki!”

Tydzień później sam wymyśliłem dla nas dwojga zadanie. Ponieważ czasami pisałem wiersze i zdobyłem już pewne uznanie wśród koleżeństwa, postanowiłem, że razem z Martą napiszemy coś zapadającego głęboko w serce i pamięć, i rozdamy to ludziom w kościele. Żeby zrozumieli, żeby się opamiętali, żeby uświadomili sobie, że mają jedno życie i że to, co robią, ma znaczenie, że nie można krzywdzić innych ludzi. W tych dniach szczęście powodowało, że cały świat uśmiechał się do mnie. Już nie chodziłem, unosiłem się w powietrzu, wiedziałem, że dokonam wielkich rzeczy, że moje, nasze życie będzie piękne. W takim nastroju łatwo napisałem próbkę wiersza „Człowieku” i z pewną obawą pokazałem go Marcie, żebyśmy dopracowali go wspólnie. Powiedziała, że jest piękny, że niczego nie



trzeba dopracowywać, a gdy czytała, po jej alabastrowym policzku spłynęła łza wzruszenia. Teraz już fruwałem nie tyle w powietrzu, co wśród gwiazd, a serce z radości waliło mi w piersiach. „Jezu” – pomyślałem – „Tak musi wyglądać niebo. O takim szczęściu w raju mówią pisma”. Podskakując z radości, pobiegłem do Marka. On też pochwalił mnie i poklepał po ramieniu. Chcieliśmy zakończyć tę sprawę jeszcze tego samego dnia. Umówiliśmy się, że Marek powieli wiersz odpowiednią liczbę razy na małej kserokopiarce w naszej salce, ja kupię folię ochronną i wieczorem przed mszą rozłożymy ten wiersz na wszystkich ławkach.

Folię kupiłem szybko, a ponieważ nie mogłem doczekać się realizacji naszego planu, poszedłem pomóc Markowi z kserokopiami. Salka, niestety, była zamknięta. Pomyślałem, że już skończył. Do wyjścia musiałem przejść w górę po schodach, które przylegały do ściany salki. W górnej części tej salki było małe okienko, przez które od środka zawsze widzieliśmy, czy ktoś jeszcze do nas schodzi. Wtedy spojrzałem w to okienko od zewnątrz. Nie od razu zrozumiałem, co widzę. Marta siedziała na krześle z głową odchyłoną do tyłu, z zamkniętymi oczami. Jakby spała, ale grymas na twarzy wskazywał raczej, że śnią się jej jakieś koszmary. Była odwrócona tyłem do okienka, więc widziałem jej twarz do góry nogami, co sprawiało jeszcze dziwniejsze wrażenie. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że za odwróconą głową sterczą jej białe piersi. Dłońmi kurczowo ścisnęła rozpiętą bluzeczkę, a pod zwiniętą w górę spódniczką kiwała się głowa Marka z ciemnymi, gęstymi włosami. Na krześle i podłodze leżały porozrzucone, zadrukowane kartki. Jezusowi Chrystusowi, ukrzyżowanemu na wielkim krzyżu na ścianie, głowa zwisała w przeciwną stronę, nie musiał więc na to patrzeć. Ja musiałem. Szkoda, że krzesło nie było odwrócone w moją stronę. Wtedy z pewnością umarłbym na miejscu już w kilka sekund i nie musiałbym się zabijać.

Swoją śmierć zaplanowałem tak, żeby pokazać wszystkim, że to przez nich, że to oni mnie zabili. W przedsionku naszego drewnianego kościoła była w podłodze jedna bardzo luźna deska. Nie wiem, dlaczego nikt tego nie naprawiał. To było jak rytuał: każdy, kto wchodził, to najpierw woda

święcona i znak krzyża, potem ta deska „klap, klap” i dopiero wtedy można było wejść do środka. Wszystkie deski w podłodze były stare i wyschnięte, a przez szpary widać było jakieś ciemne pomieszczenie. Znałem je dobrze, bo jako ministrant często chodziłem tam po chorągwie, figury, dodatkowe krzesła, stojaki na mikrofon i inne sprzęty. I właśnie to miejsce, i tę uświęcającą wchodzących luźną deskę postanowiłem wykorzystać do zakończenia swojego życia. Żeby pokazać tym wszystkim popaprańcom z kościoła z oazą włącznie i ... tego imienia wołałem sobie nawet nie przypominać. Byłem jednym z najlepszych uczniów technikum mechanicznego, więc skonstruowanie odpowiedniego mechanizmu nie sprawiło mi kłopotu. Sporządziłem odpowiednią pętlę z linki stalowej na swoją szyję. Było to tak skonstruowane, że każdy ruch luźnej deski powodował zawijanie się na szpuli stalowej linki. Obliczyłem, że po około pięćdziesięciu przesunięciach linka skróci się o tyle, że zawisnę na tak skonstruowanej szubienicy.

Na uroczystości Zielonych Świątek spodziewałem się w kościele co najmniej stu osób. Wstyd mi opowiadać o szczegółach. Powiem tylko, że stare deski nie utrzymały mojego ciężaru, wielki huk zatrzymał wchodzących ludzi, którzy bardziej rozbawieni niż przejęci spoglądali przez dziurę w podłodze, gdy ja próbowałem oswobodzić się z duszącej mnie linki. Rodzice byli załamani. Mama płakała. Młody wikary, który pierwszy zbiegł do mnie na dół i pomógł mi, zerwał list pożegnalny, który przyczepiłem sobie na plecach i nikomu nigdy o nim nie powiedział. Spotykaliśmy się później wielokrotnie. Rozmawialiśmy o wszystkim. O nic mnie nie pytywał. Przyszedł czas, że sam mu wszystko powiedziałem. Dzięki niemu odzyskałem wtedy swoje życie. Wiele zrozumiałem. Znowu wiedziałem, że istnieje prawda i sens. Moim mottem stały się słowa świętego Pawła: „Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię to zło, którego nie chcę”. Tacy jesteśmy. Ludzie postępują źle, ale tak naprawdę chcieliby być dobrzy. Trzeba im pomóc.

I zostałem księdzem.

W seminarium byłem wyróżniającym się klerykiem. Szczególne zamiłowanie miałem do analizy tekstów biblijnych Nowego Testamentu, które czytałem w oryginale. Wraz z tymi studiami rosło też moje przekonanie o słuszności wybranej drogi i prawdziwości wyznawanej wiary. Chciałem kontynuować drogę naukową, ale postanowiono, że muszę zacząć od pracy w jakiejś parafii. Ponoć zawsze to tak wygląda. Najpierw trafiłem do wielkomięskiej parafii na blokowisku ze śmierdzącymi zsykami i trudną młodzieżą. Z pewnością nie byłem idealnym księdzem i wychowawcą, ale kilkoma sukcesami mogę się pochwalić. Szczególnie poruszająca jest historia piętnastoletniej Marty (cóż za zbieżność imion!), która zwyzywała mnie i opluła, gdy próbowałem wyciągnąć ją pijaną z najgorszej meliny na osiedlu. Ostatecznie jednak udało się odseparować ją od patologicznej rodziny, zwłaszcza od dobierającego się do niej, wiecznie pijanego ojca. Mieszka teraz w Krakowie, studiuje i wkrótce ma wyjść za mąż. Razem z Martą uciekł z ich domu pies, szary kundel Reks, a ponieważ Marta nie mogła trzymać psa w akademiku, przygarnąłem go. Zawsze lubiłem psy, więc nawet ucieczyłem się z takiego prezentu. Mówią, że kundle to mądre psy. Ten taki nie był, ale pokochaliśmy się od pierwszego spotkania.

Wiosną ubiegłego roku wezwał mnie do siebie biskup, żeby powierzyć mi szczególną, nietatwą i poufną misję. Otóż, jak się dowiedziałem, w niewielkiej wiejskiej parafii na Śląsku Cieszyńskim znajduje się drewniany kościół podzielony na pół: jedna część jest rzymskokatolicka, a druga – ewangelicka. Ewangelicy w tym regionie to nic niezwykłego, ale w tej parafii zaczęły się dziać niepokojące rzeczy. Ponoć nowy ksiądz protestancki skłócił żyjące niegdyś w zgodzie społeczeństwo i zaczął skutecznie przeciągać naszych parafian na swoją stronę. Nie można było na to nie reagować, ale katolicki proboszcz nie dawał sobie z tym rady. Był to człowiek znany ze swojej wielkiej wiedzy i niepospolitej inteligencji. Na tej wsi jednak, ponoć, zupełnie zdziwaczał. Zaczął zajmować się głównie własnymi zainteresowaniami, a szczególnie swoim nowym hobby. Prowadził jakies

badania na psach. Ponoć miał je uczyć mówić czy też sam się uczyć mówić po psiemu – dokładnie nie było wiadomo. I chociaż odprawiał wszystkie należne msze i nabożeństwa, odwiedzał parafian i przyjmował ich u siebie, organizował pielgrzymki, a w parafii działał zespół muzyczny dla młodzieży i świetlica dla dzieci, to jednak w konfrontacji z ewangelikami wyraźnie nie sprawdzał się. I to było zadanie dla mnie. Zostałem przydzielony do tej parafii. Oficjalnie dlatego, żebym mógł jak najwięcej nauczyć się od mądrego, doświadczonego księdza. Naprawdę jednak miałem zdiagnozować sytuację w parafii, zdawać biskupowi cotygodniowe relacje, a w sytuacjach koniecznych – przejąć inicjatywę i od razu reagować. Dostałem zdjęcie uśmiechniętego księdza Adama z jego psami na tle kościoła. Na odwrocie biskup swoim złotym parkerem dopisał zamaszystym pismem jego adres.

Pojechałem tam w pewną marcową niedzielę po południu. Z przystanku autobusowego musiałem, z dość ciężką torbą na ramieniu, dojść jeszcze około kilometra. Mrozy już puściły, było mokro i grząsko, ale droga do wioski była dobrze utrzymana: resztki śniegu odgarnięte były starannie na bok. Z przyjemnością wdychałem świeże, rześkie powietrze. Powoli się ściemniało, ale i w tym półmroku wzniesienia pokryte lasami i polami wyglądały bardzo malowniczo. Wstąpił we mnie nowy duch. Resztki stresu związanego z tajną misją spływały ze mnie z każdym głębokim wdechem. Przyspieszyłem kroku w oczekiwaniu czegoś niezwyklego. Okazało się, że przecucie mnie nie myliło.

Kościół, zbudowany na szczycie niewielkiego, symetrycznego wzniesienia, otoczony był drewnianym, niskim ogrodzeniem i przylegającym do niego równo przyciętym żywopłotem. Sporą przestrzeń pomiędzy ogrodzeniem a kościołem wypełniał przyprószone śniegiem trawnik i puste jeszcze rabatki na kwiaty. Tak jak przypuszczałem, przy kościele nie było żadnej plebanii. Poszedłem więc w dół, w stronę porozrzucanych domków i zapukałem do pierwszego. Ponieważ nikt nie odpowiadał, a przez uchylone drzwi słychać było muzykę, wszedłem ostrożnie za próg, nawołując głośno gospodarzy. Na wprost wejścia zobaczyłem

stojącego w kuchni postawnego mężczyznę z wyraźną nadwagą i czerwonymi policzkami nad gęstą czarną brodą, który podśpiewując kiwał się na boki w rytm muzyki. Poznałem go od razu. To był on – ksiądz Adam. Odwrócił się wtedy do mnie, przerywając mieszanie w patelni, i uściśnął mnie serdecznie. Wiedział kim jestem. Zaprowadził mnie na górę do mojego pokoju i zaprosił za chwilę na kolację. Okazało się, że przygotował na mój przyjazd pieczeń z indyka z przypieczonymi ziemniakami i sosem borowikowym. Były też trzy surówki i kompot, a na deser ciasto wiśniowe z bezą. No tak, ksiądz Adam lubił gotować, a jeszcze bardziej lubił jeść. Nie byłem w stanie dotrzymać mu w tym kroku, ale mnie nie zmuszał. Wymogłem na nim, że śniadania będą jednak należały do mnie. Z uśmiechem patrzył na przygotowywane przeze mnie kaszki i sałatki, ale z czasem przyzwyczał się i nawet to polubił.

Potwierdziło się wszystko, o czym mówił biskup. Kościół od dawna podzielony był na dwie części dobudowaną w poprzek ścianą. Pojawiła się też druga brama wejściowa z przeciwnej strony. Teraz już nie było pewne, które wejście było tym pierwotnym. Tak czy inaczej, katolicy i protestanci wchodzili do kościoła z przeciwnych stron, a ołtarze sąsiadowały ze sobą przez tę dobudowaną ścianę. W przeszłości wszyscy żyli zgodnie, były nawet wspólne nabożeństwa. Jednak od czasu, gdy przysłał nowego księdza ewangelickiego, wszystko zaczęło się psuć. Mieszkańcy zaczęli patrzeć na siebie nieufnie i nie rozmawiali ze sobą pod kościołem po nabożeństwach. Prawdą też było to, że kolejni katolicy przechodzili na protestantyzm. Atmosfera stawała się nieprzyjemna. Ksiądz Adam unikał tego tematu, chociaż często i chętnie rozmawialiśmy ze sobą. Rzeczywiście, był bardzo mądrym, odczytanym człowiekiem. Moje studia nad Nowym Testamentem bardzo go zainteresowały i udzielił mi w tej kwestii wielu cennych wskazówek. W żaden sposób jednak nie potrafił wytłumaczyć swojej bezradności wobec sytuacji w parafii. Pomyślałem, że on chyba po prostu nie potrafił walczyć, kłócić się, atakować. Pomimo wyglądu rozbójnika Rumcajsa był łagodny jak owieczka.

W przybudówce do jego domku, w sporym pomieszczeniu wyścielonym owczymi skórami, mieszkały dwa psy: pudel Maks i Wika rasy border collie. Pudel, na szczęście, nie był idiotycznie przystrzyżony. Drzwi były uchylne, więc psy wychodziły i wracały, kiedy chciały. Z nimi też zaprzyjaźniłem się od pierwszego wejrzenia, albo raczej – obwąchania. Pamiętałem, co biskup mówił o księdzu Adamie i jego psach, ale nie wypytywałem go o to. Czekałem. I oto pewnego wieczoru Adam poprosił mnie, żebym wszedł do psiego pomieszczenia i, nie zaczepiając psów, stanął spokojnie pod ścianą. On sam pozostał na zewnątrz.

– Maks, podejdź do Piotra! – zawołał i Maks posłusznie przyszedł do mnie.

– Wika, połóż się! – I Wika położyła się na podłodze, tam gdzie stała.

– Maks, chodź szybko do mnie! – I Maks natychmiast wybiegł na zewnątrz.

– Wika, już jest za zimno na dworze. Weź Maksa do środka.

Wika wyszła na zewnątrz. Ja też. Widziałem jak podeszła do Maksa, zaczęła na niego szczeakać i popychać nosem w stronę drzwi. Nie było łatwo, ale dopięła swego.

Stałem jak zamurowany. Oczywiście, spodziewałem się jakichś sztuczek, ale to przekraczało moje wyobrażenia. Ksiądz Adam, z szerokim uśmiechem wznosił ręce w górę i triumfalnie wykrzyknął: „ta-dam!”

Sekret wyjawiał mi przy kolacji. Zawsze lubił psy i towarzyszyły mu one od dzieciństwa. Zaprzyjaźniony był ze wszystkimi psami na osiedlu. Kiedyś kupił gwizdek ultradźwiękowy dla psów i testował go na podwórku. Zgubił go i kupił nowy. Ponieważ był bałaganiarzem, zawieruszenie się gwizdka zdarzyło się jeszcze kilkukrotnie. Potem jednak gwizdki się odnajdowały i miał ich chyba pięć. Zauważył, że psy trochę inaczej reagują na każdy z nich. Na dźwięk jednego zazwyczaj przystawały, a na dźwięk innych najczęściej albo zaczynały biegać, albo rozglądały się lub szły w stronę domu. Prawidłowość nie była stuprocentowa, ale zauważalna. Zaczął to badać. Najpierw porównywał widma ultradźwięków emitowanych przez

gwizdki, znajdując ich cechy wyróżniające. Później generował komputerowo ultradźwięki, złożone właśnie z tych cech szczególnych i prezentował je psom. Nie uzyskał jednak jednoznacznych wyników. Później poszedł do seminarium i porzucił ten temat. Ale gdy wysłali go na tę wioskę, gdzie miał więcej czasu, powrócił do badań. Zastosował jeszcze inną metodę. Nagrywał szczekanie psów, oddzielał z niego komponentę ultradźwiękową i porównywał ją z widmami gwizdków. Zapisywał też dokładnie sytuacje, w których pojawiało się szczekanie.

Pomogła mu też przyjaciółka Zoja, która zajmowała się badaniami funkcjonalnymi w pracowni rezonansu magnetycznego. Nie było łatwo wprowadzać psy do szpitala, usypiać je i badać, podając różne ultradźwiękowe sygnały, ale udało się. Wszystkie te obserwacje i badania doprowadziły go do poznania czegoś w rodzaju psiej mowy. Bardzo prymitywnej, ale działającej. Udało się przypisać znaczenie około dwustu złożonym ultradźwiękom. Na przykład dźwięk nazwany przez Adama „nos” oznaczał wachanie, ale też szukanie, wiedzę, poznanie. Z kolei dźwięk nazwany „łapy” oznaczał ruch, a nieco zmodyfikowany „łapy plus” – szybki ruch, bieg lub skok. Były też dźwięki bardziej jednoznaczne, jak na przykład „woda” jako picie, „woda plus” jako jezioro, rzeka, morze lub „ziemia” jako podłoże, podłoga. Dość złożony dźwięk nazwany „ból” oznaczał ból, ranę, cierpienie, generalnie – coś złego. Były też dźwięki oznaczające wnętrze i zewnątrz w sensie podwórka, przestrzeni oraz np. „ciepło”, „zimno”, „leżeć”, „stać”. Później doszły do tego nowe poznane znaczenia, takie jak „dom”, „kościół”, „pole”, „ogień”. Ksiądz Adam zidentyfikował też coś takiego jak zdanie. Zaczynało się krótkim ultradźwiękiem wznoszącym i kończyło krótkim opadającym. Nazwał je „start” i „stop”. Z pewnym zaskoczeniem Adam odkrył istnienie dźwięku „nie” oznaczającego zaprzeczenie. To już dawało szerokie możliwości komunikacyjne.

Szczególne znaczenie miał dźwięk „jedzenie”. Oznaczał on nie tylko jedzenie jako takie, ale coś pozytywnego, dobrego, szczęście. To było oczywiste! Od razu skojarzyło mi się to z Księgą Izajasza, gdzie jest napisane do

ludzi: „Słuchajcie mnie, a jeść będziecie przysmaki i dusza wasza zakosztuje tłustych potraw”. Zbieżność znaczeń była wprost porażająca.

Ksiądz Adam stworzył program komputerowy, tłumaczący naszą codzienną mowę na ten prosty język psi. Żeby komunikacja była łatwiejsza, skonstruował też obroże z odpowiednimi układami elektronicznymi, czułym mikrofonem i generatorem ultradźwięków. Odtąd mógł po prostu do swoich piesków mówić. Dopiero wtedy zrozumiałem, że duże obroże z wystającymi elementami nie były tylko ozdobą. Komunikacja nie była idealna, ale działała dość dobrze. Wymagało to jednak pewnej psiej inteligencji. Dlatego też ksiądz Adam kupił psy ras uważanych za najbardziej inteligentne.

Na przykład w prezentacji, której byłem świadkiem, polecenie: „Maks podejdź do Piotra” przetłumaczone było na ciąg ultradźwięków o symbolicznych nazwach: Maks, start, łapy, Piotr, koniec”. Jeszcze łatwiej było z „Wika, połóż się”. Były to dźwięki: „Wika, start, leżeć, koniec”. O wiele trudniejszy był rozkaz zagonienia Maksa do środka z powodu zimna na dworze. Przekaz w języku psim brzmiał: „Wika, start, zewnątrz, zimno, Maks, ból, stop, start, Maks, dom, jedzenie, koniec”. Mądry pies rozumiał. Zdarzały się też nieporozumienia. Na przykład na polecenie: „Pada, lepiej chodźmy już do domu”, Maks przyniósł mu z domu kawałek kości. Ale to było dość skomplikowane. Poza tym, psy wyraźnie uczyły się rozpoznawać intencje mówiącego. Z czasem myliły się coraz rzadziej.

To było niesamowite, rewelacyjne. Bardzo atrakcyjne dla naukowca. Trochę mu zazdrościłem. A może nawet nie trochę. Chciałem się jakoś do tego przyłączyć. Ksiądz Adam zgodził się, żebym w tym celu sprowadził swojego psa, którego zostawiłem u brata. Potwierdziło się jednak, że kochany, oddany kundel, prawdziwy przyjaciel jest, niestety, głupi. Nie rozpoznawał nawet najprostszych komend. Wydawał się nie być nimi zainteresowany. Rozumiał mnie inaczej. Znał mnie i ufał mi. Był przy mnie wszędzie, nawet podczas ulewy, mrozu i na śliskich stromych skałach. Płakał, gdy mnie dłużej nie było.



Zbliżały się Święta Wielkanocne. Kolejna okazja do wzmożenia nieufności i podziałów między ludźmi w wiosce. Pomyślałem jednak, że może to być też niezła sposobność, żeby spróbować załagodzić, naprawić sytuację. Postanowiłem działać. Wieczorem poszedłem do księdza ewangelickiego. Mieszkał w centrum wioski, w małym, prostym domku, chyba sam. Był mniej więcej w moim wieku. Przyjął mnie grzecznie, chociaż z rezerwą. Usiedliśmy przy herbacie. Nie podał niczego innego. Powiedziałem mu to, co każdy chyba powiedziałby na moim miejscu: że jesteśmy chrześcijanami, że różnimy się w swojej wierze, ale nie powinniśmy się zwalczać, że my nie nastawiamy naszych wiernych przeciwko ewangelikom, wprost przeciwnie – namawiamy do przyjaźni i że chcielibyśmy żyć w zgodzie, tak jak było dawniej. Słuchał mnie uważnie, z lekkim uśmiechem. W końcu odezwał się, chwając mnie za to, że przyszedłem, że mi zależy i że chcę zgody chrześcijańskiej. I on też niczego bardziej nie pragnął, niż zgody wśród wiernych. Byłem zaskoczony, ale zadowolony z siebie. Pomyślałem, że szybko poszło. Jedna wizyta i już sprawa załatwiona. Na zakończenie, gdy już wychodziłem, uzgodniliśmy, że w Poniedziałek Wielkanocny urządzimy pod kościołem piknik dla wszystkich. Na zgodę. W najsmielszych snach nie przepuszczałem nawet, że dojdziemy tak daleko. Szczęśliwy, szybkim krokiem, a właściwie – biegiem, wróciłem do siebie i opowiedziałem o wszystkim księdzu Adamowi. Nie był niezadowolony, jak się obawiałem, z tego, że to ja, młody wikary załatwiłem bez trudu sprawę, z którą on nie dawał sobie rady. Ucieszył się i powiedział, że być może znowu będzie można zacząć żyć spokojnie i normalnie. Starłem się nie dać po sobie poznać, jaka przepełniała mnie radość.

Nadszedł Poniedziałek Wielkanocny. Wczesnym popołudniem chyba wszyscy mieszkańcy wioski zgromadzili się przy kościele. Niestety, początkowo po swoich stronach kościoła, ale miałem nadzieję, że z czasem dojdzie do integracji. Wokół kościoła ustawione były stoły i każda rodzina stawiała na nim to, co przyniosła. Wkrótce wszystkie stoły były zapełnione. Ludzie rozmawiali ze sobą, niektórzy składali sobie życzenia, ale pozostawali po swoich

stronach. Żeby ich ośmielić, sam poszedłem do ewangelików, serdecznie się witałem, pytałem, odpowiadałem na pytania. Ksiądz Andrzej zrobił to samo. Ludzie podążyli za nami i za chwilę nie było już widać żadnych podziałów.

I wtedy to się stało.

Ksiądz Andrzej wszedł na krzesło, przywitał wszystkich i wyraził swoje zadowolenie, że wszyscy: i katolicy, i protestanci zgromadzili się razem w to święto. I zwracając się do mnie powiedział:

– Drogi księżo Piotrze, tak się cieszę, że świętujemy dzisiaj razem. Mam nadzieję, że będziemy mogli później odprawić wspólne nabożeństwo. Na szczęście dzięki Lutrowi wszyscy, nawet katolicy, mogą dzisiaj czytać Słowo Boga w swoim ojczystym języku.

Zamurowało mnie. Nie był to może atak, ale wyraźna zaczepka. Zastanawiałem się tylko, czy taki był jego plan od początku, czy improwizuje. Też stanąłem na krzesle i odpowiedziałem:

– Jest w tym trochę prawdy. Szanujemy naszych braci, protestantów, ale nie wszystko, co mówił Luter, jest prawdą uniwersalną. Na przykład propagowana przez Lutra doktryna „sola fide”, sprowadza się do hasła „wiarą bez uczynków”. Czyli nie musimy czynić dobrze. Nie musimy przejmować się tym, co robimy. My, katolicy, tak nie myślimy. Są niezliczone fragmenty na kartach Pisma Świętego, które temu przeczą, np. List świętego Jakuba: „Widzicie, że człowiek dostępuje usprawiedliwienia na podstawie uczynków, a nie samej tylko wiary”. Chrystus mówił: „Jeśli chcesz wejść w życie, zachowaj przykazania”. A święty Jan Apostoł pisze: „Kto mówi: znam Go, a nie zachowuje Jego przykazań, ten jest kłamcą i nie ma w nim prawdy”.

– To błędna interpretacja. – Ksiądz Andrzej podjął wyzwanie. – Pismo Święte mówi zgola co innego i Luter to ujawnił. Na przykład w Liście do Rzymian: „Gdyż wszyscy zgrzeszyli i brak im chwały Bożej, i są usprawiedliwieni darmo, z łaski jego, przez odkupienie w Chrystusie Jezusie... Uważamy bowiem, że człowiek bywa usprawiedliwiony przez wiarę, niezależnie od uczynków zakonu. Albo w Liście do Galatów: „Wiedząc wszakże, że człowiek zostaje usprawiedliwiony nie z uczynków zakonu, a tylko przez

wiarę w Chrystusa Jezusa, i myśmy w Chrystusa Jezusa uwierzyli, abyśmy zostali usprawiedliwieni z wiary w Chrystusa, a nie z uczynków zakonu, ponieważ z uczynków zakonu nie będzie usprawiedliwiony żaden człowiek. I z Listu do Efezjan: „Albowiem łaską zbawieni jesteście przez wiarę, i to nie z was: Boży to dar; nie z uczynków, aby się kto nie chlubił.”

Zacząłem już tracić cierpliwość. Do czego ta kłótnia doprowadzi?

– To wszystko wyjęte z kontekstu! – krzyknąłem już mocno poirytowany. – Zresztą, co to znaczy „uczynki zakonu”? To pomyłka, przekłamanie. Chyba że zwykle oszustwo. A wiecie, co jeszcze mówił Luter? Mówił, że usprawiedliwiona dusza jest jak gnojowisko pokryte śniegiem! Ciągłe jest w stanie grzechu i jest jedynie przykryta przez sprawiedliwość Chrystusa. I przekonywał, że w czasie tego życia musimy grzeszyć. Grzech nas od Boga nie odseparuje, nawet jeśli mielibyśmy popełniać tysiąc morderstw i tysiąc cudzołóstw na dzień! Człowiek, zdaniem Lutera, powinien być grzesznikiem i grzeszyć śmiało!

Zgromadzeni ludzie zaczęli odsuwać się od siebie i gromadzić przy swoich stronach kościoła.

– A sam o sobie, co mówił Luter? – Chciałem już dobić przeciwnika. – „Ja, który powinienem być żarliwym duchem, jestem tylko żarliwy w nieczystości”!

Ale przeciwnik był przygotowany:

– Boże drogi! – Wzniósł ręce do nieba. – Cóż to za bzdury i idiotyzmy! Luter był uzdrowicielem! Był księdzem katolickim i profesorem biblistyki. W czasach, w których żył, widział gnojowisko raczej w ówczesnym Kościele. Duchowy, polityczny i materialny nierząd! Nie mówiąc już o sprzedawaniu odpustów! Pieniądze dla Kościoła za wywabienie z czyszcza? A nauki o usprawiedliwieniu – że człowiek może uzyskać sprawiedliwość w oczach Boga tylko jako dar z łaski Bożej, który przyjmuje się przez wiarę – nie wymyślił sobie. Znalazł to w Piśmie Świętym i udowodnił!

– Tego już za wiele! – powiedziałem stanowczo. – Do widzenia! – Machnąłem ręką na znak, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

I to machnięcie naprawdę zakończyło naszą dyskusję, ponieważ nie chcący strąciłem wtedy ze stołu przyniesioną przez kogoś świecę. Najpierw zajęły się resztki trawy i obrus, później stół. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie, również na żywopłot i ogrodzenie. Po kilku minutach płomienie wychodziły już ze wszystkich stron, a gryzący dym potęgował panikę. Wśród krzyków i płaczu, przy dźwięku przewracanych stołów, krzesel i tłukących się naczyń, wszyscy jakoś znaleźli drogę do wyjścia. Przerażeni ludzie, wielu na klęczkach ze złożonymi rękami, patrzyli jak płonie kościół i wszystko wokół niego. Teraz też ludzie zgromadzeni byli w dwóch oddzielnych grupach, krzyczeli do siebie i wygrażali pięściami. Oskarżali się wzajemnie o spowodowanie tego nieszczęścia. Ewangelicy wskazywali na mnie jako tego, który przewrócił świecę. Katolicy odpowiadali, że to ich ksiądz wywołał sprzeczkę. Widziałem chyba jakiś rzucony kamień.

Ksiądz Adam, też klęczący nisko przy ziemi, nagle wstał. Przypomniał sobie o psach, które też świętowały z nami pod stołem, szczerze dokarmiane. Zapomnieliśmy o nich. Podbiegliśmy z księdzem Adamem do tej części ogrodzenia, gdzie płomieni było najmniej. Było to widocznie najmniej rozżarzone i zadymione miejsce, bo psy też były tam za żywopłotem. Chodziły nerwowo w kółko, nie wiedząc, co robić.

– Chodźcie tu! – krzyczał ksiądz Adam. – Przeskoczcie do nas przez ogień!

Wtedy Maks zaczął skakać wzdłuż ogrodzenia w jedną i drugą stronę patrząc na nas z przerażeniem. Wika podbiegała do ogrodzenia, za którym staliśmy, po czym szybko się cofała i tak w kółko. A głupi Reks, zupełnie zdezorientowany i szczekający na wszystkie strony, patrząc na moje wyciągnięte nad żywopłotem ręce, poparzone już i z płomieniami na rękawach... skoczył.

I wtedy zrozumiałem. A w zasadzie, przypomniałem sobie. Znalazłem prawdę. Najprostszą z najprostszych. Odczułem jej pierwotny sens.

Teraz żyję już spokojnie. Chodzę do kościoła, w którym mnie ochrzczono i modłę się tak, jak nauczyła mnie mama. Nikogo nie osądzam. Staram się być dobry dla ludzi. Pomagam, gdy proszą. Słucham, gdy mówią.





XXVII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

---

# Mariola Kruszewska

godło „korek”

---

**I NAGRODA w dziedzinie poezji**

## **Mariola Kruszevska**

Nauczycielka, niezrzeszona w związkach i stowarzyszeniach literackich. W dorobku ma tomiki poetyckie pt. *Bywam kobietą*, Tuchów 2011 i *Wczoraj i dziś*, Białystok 2013 (nagrodzony Orfeuszem Mazurskim), tom opowiadań *Czeresnie będą dziczeć*, Gdańsk 2017 (Główna Nagroda Miasta Gdańska im. B. Faca, nominacja do nagrody im. Mackiewicza), książka dla młodzieży *Srebrzyk. Opowieści mińskie*, 2018, publikacje w prasie i antologiach.

**ecce**

w końcu umarła

pokój trzeba będzie długo wietrzyć  
wyrzucić łóżko jeszcze zapłacić za wywóz śmieci  
lepsze ubrania sprzeda się na Allegro  
po co jej było tyle tego  
i tak nigdzie nie wychodziła stara  
teraz sprzątaj po niej

człowieku



## archaizm

dałeś mi słowo honoru

z wrażenia stanąłem na baczność  
niczym dziadek z fotografii  
kot szyderczo wygiął polerowany grzbiet

dałeś mi słowo honoru  
zardzewiałe jak krzyk pawia w przypałacowym parku  
brzęczy zakurzoną szabelką nad kominkiem  
tuż obok trzydziestodwucalowego ekranu  
cudaczne  
niby małpa w ułańskim uniformie

pachnie naftaliną i fajkowym tytoniem  
kot nie lubi tego zapachu prycha gniewnie

dałeś mi słowo honoru po trzykroć  
przewiązane niezdarnym tłumaczeniem  
kot kładzie się na klawiaturze  
szuka słownika

## **o ziarnie nie będzie ani słowa**

między praniem a gonitwą za autobusem  
całe bele tygodniowej słomy

zbierasz ją i zwijasz niczym starożytni uczeni  
papierus ze stemplem mądrych myśli  
od jednej szpuli do niedzielnego serialu

usychające pelargonie bolące gardło  
przepełnienie przedszkoli buty u szewca  
ciasno w tej belce niemal jak w autobusie  
który znowu uciekł do wielkiego miasta bez ciebie

nie zmieści się kłós porannej mszy  
modlitwa przybrała długość kolejki przy kasie  
śmierć zdaje się nie istnieć podobnie jak Bóg  
upychany do szuflady z napisem odłożyć na później

istnieje bela tygodniowej słomy  
usychające pelargonie angina  
wywieszane pranie i przepełnienie przedszkoli

## **pole**

babcia cała obwiła  
nad żniwami mdleje z upału lato  
wypija ostatnią kroplę obłoku

Palestyna płonie w ogniu rodzi się  
kolejny mudżahedin

nie ma już kosiarzy pod zabita gruszą  
drzemią od lat armie robaków  
zawsze w gotowości

Syria płonie w ogniu wykuwa  
cegły z lodu

koniec tego lipca unurzanego w sepji  
zbiegnie się ze zwapnieniem pamięci  
tymczasem graweruję każdy kłos

Libia płonie w ogniu gotuje się prawo  
wielkiej gry  
już bulgocze woda w strumieniu piasek  
usypuje kurhany moja mała wieś pod akacjami  
rozmyte krowie cienie odeszła odchodzi  
odejdzie moja mała ojczyzna planeta  
mój mały świat  
mój duży świat

zamknięci w swoich słoikach  
czy słyszycie  
czy widzicie

właśnie sięją wiatr

## **dziecko**

biegnie kilka kroków przed dorosłym  
czasami obraca się  
jakby w obawie  
że je dogoni

zbyt wcześnie



XXVII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

---

# Monika Karbowniczek

godło „Vulpecula”

---

## II NAGRODA w dziedzinie poezji

### **Monika Karbowniczek**

Absolwentka Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia im. Mieczysława Karłowicza, Górnośląskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Mysłowicach oraz studiów podyplomowych na kierunku logopedia z glottodydaktyką. Obecnie studentka Studium Artystyczno-Literackiego Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jej pasją jest literatura science-fiction oraz książki historyczne. Uwielbia podróżować i poznawać nowe, interesujące miejsca. W 2017 r. dzięki uprzejmości Klubu Inicjatyw Kulturalnych w Gliwicach wydała pierwszy arkusz poetycki pod red. Krzysztofa Siwczyka. Publikowała w wydawnictwie J. Brała udział w projekcie *Wiersze na murach*. Jej wiersze ukazały się również w Antologii Słuchaczy Studiów Literacko-Artystycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszka i pracuje w Dąbrowie Górniczej.

## **Blizna.**

Słońce przecieka przez palce  
Dali byłby zachwycony  
Boeing zostawia rysę na błękitnej twarzy  
Płonąca żyrafa uśmiecha się do mnie  
W jej oczach isierki triumfu,  
Ona nie ma palców

## **Letarg pozorny.**

Drzewa w mimowolnym zamyśleniu czekają  
Można bezkarnie objąć je w pasie  
Lub schronić się wśród bujności ich czupryn  
Ich myśli biegną cicho przez drewniane arterie

## Pomyłka.

Wyciągnęłaś dłoń  
nie do niego,  
przed siebie  
Raczej, by sprawdzić  
jak daleko jesteś od ściany  
Oczy miałaś zamknięte  
wtedy i całe życie  
Niech to stanie się teraz  
póki nie zacznie mierzić  
Niech się stanie  
w chwili odwagi,  
dodanej sobie piwem  
z odrobiną soku z imbiru.  
Po oszronionym kuflu, ściekają krople,  
jak twoje głupie łzy  
A ty nawet nie lubisz piwa.  
Potem przyjdą, bo muszą,  
dni deszczu,  
dni wiatru, urywającego głowę  
Nim wszystko ustanie, poczuj raz jeden,  
że byłaś



## **Impas.**

Ludzie nie rozumieją języka srok,  
skrzeczących na siebie w gałęziach drzew  
zachrypty im głosy od prowadzenia dysput  
na wyższych szczeblach  
w zielonych koronach ich domów  
Sroki nie rozumieją języka ludzi  
a i mało który z rasy homo wie, co się do niego mówi,  
niby po ludzku

## **Obecność.**

**(wiersz inspirowany muzeum Salvadora Dali w Figueres)**

Wchodzi w Twoje królestwo, leżące na zboczu góry, zwanej szaleństwem  
sama znika, zapatrzona w Mae West, która ma usta niczym sofa  
Jaskółki tak nisko krążąc, wlatywały w jej serce  
ale to było innego dnia.

A dziś, widziała bordowe ściany twego zamku, całe wyłożone chlebem,  
który pozłociłeś

Duszno tu od twej pasji, mały chłopczyk powiedział jej o tym, na ucho:  
Wiesz mamó, źle się tu czuję,  
ona mogła odpocząć

Może będzie burza, jaskółki szybują nisko ale to było kiedyś.

Twój duch przechadza się po salach, zerkając na miny zwiedzających.

Wyraźnie go odczuwa, stawiając swe kroki w przeszklonym foyer  
gdzie na suficie wraz z Galą sięgacie głowami nieba



XXVII Konkurs literacki

# Krajobrazy Słowa

---

## Renata Blicharz

godło „Boreasz”

---

### III NAGRODA w dziedzinie poezji

#### **Renata Blicharz**

Mieszka i tworzy w Opolu. Absolwentka Uniwersytetu Opolskiego, miłośniczka sztuk wszelakich. Przede wszystkim poetka. Prowadzi blog *Poezja jest magiczną częścią życia*. Od debiutu w 1983 r. zajmowała się twórczością literacką, przede wszystkim poetycką, wydawała tomiki, drukowała w prasie i publikacjach zbiorowych, brała udział w działalności stowarzyszeń kulturalnych i literackich. Prezentowała swoje utwory w szeregu spotkań autorskich i audycjach radiowych, występowała w programach radiowych promujących poezję, literaturę i kulturę. Jest laureatką wielu konkursów poetyckich i literackich. Wydała autorskie książki poetyckie: *Pocztówka z bajki*, Opole 1997, *Kolekcjonerka* Kluczbork 2006, *Czarna aureola*, Nowa Ruda 2009, *Kolderka z białego marmuru*, Opole 2011, *Czarownica w sypialni*, Opole 2015, *189 dwójek*, Kraków 2019.

## Wielka noc

Pachnie balią, świeżą pościelą, umyтым oknem,  
nową firanką. Matki wiedzą jak ubrać dom w zapachy,  
których źródła stopniowo i nieodwracalnie traciły  
rację bytu. Domowy ług, mydliny, szare mydła już  
dawno znalazły ciepłe miejsca  
w słowniku archaizmów.

Pachnie jeszcze bardzo wczesnym powietrzem.  
Jesteśmy w mieście. Ale to zapach trawy, wilgotnej  
świeżo wzruszonej ziemi, zbutwiałego drewna.  
Mikry klimat jaskini.

Bo nocą nawet asfalty, betony i stal tracą prawo głosu,  
bruk na nowo staje się skałą, przęśła mostu wracają

do prapoczątków i rude przemawiają do nas spod ziemi,  
spod darni i tektonicznych skorup, wykorzystując  
ochrę, umbrę i ugier.

## Miasto zimą

Wiersz o mieście powinien być pełen śniegu  
i mgły, bo miasto jest wtedy tajemnicze, a jego  
tajemnice są uśpione i bardziej tajemnicze niż  
na początku lata. W czerwcu wydaje się, jakby

ich wcale nie było. A wiersz, gdy pełen śniegu  
i mgły, ma wtedy prawdziwie podwójne dno.  
Szron na wersach, groty, klingi lodu w słowach,  
trzeszczący mróz wykrzykników, szadź kropek.

Na przegubie każdej zwrotki niejawne tętno, czujesz?  
W interliniach krążą lunatycznie płatki śniegu, widzisz?  
W każdej literze skrząca się biel, która nagle może  
zniknąć, zmienić się w brudne czernie i szarości.

Wtedy musimy zawrócić. Nie można tędy przejść,  
iść dalej, zachować milczenie. Więc zawracamy do  
początku, który może wiele ocalić, zawracamy do  
tej przeklętej pierwszej linijki.

## Wiersz

Ale nie mogę o tym napisać, bo wyjdzie sucho,  
bez wyrazu. Bo papier nie ma barwy głosu, nie ma  
zawieszenia litery, gestu ręką, wstrzymania oddechu,  
opuszczenia słowa, przedłużenia dźwięku w głosce.

Pytajnik na końcu wersu nie umie unosić brwi, wykrzyknik  
nigdy nie zamilknie po sobie tak jak ja. To nie wymiana  
słów, które można omówić, można opisać, rozwinąć, cofnąć.  
Dobrze, mogę napisać dialog, ale to nie będzie rozmowa

taka jak spływ kajakowy rwącą rzeką: rwący nurt, zakole,  
zwrot akcji, podstępny epitet, wir, wystający głaz, głosa,  
machnięcie dłonią, podwodny pień, porywista metafora.

Zatem poczekaj albo przyjdź, gdy spadnie pierwszy śnieg,  
nastanie pierwszy szron, przyjdź porą nostalgiczną, najlepiej  
w listopadzie, miesiącu poetów. Wtedy przeczytam ci  
ten wiersz.

## Nowy Bóg

Na trwogę gwizdże czajnik. Biegniemy, by ulżyć parze  
oszalałej do białości. Gwizdkowi doczepionemu do srebrnej  
półkuli, przysadzistej cerkwi też pomagamy. Ma ostudzić  
rewolucję wrzątku. Potem pokój. Na oceanach panuje spokój.

Rozwijają się, milcząc, żagle herbacianych liści w mojej szklance.  
Ty jesteś bardziej nowoczesna. W twojej filiżance zatapiamy  
piramidkę. Wygląda jak na pół przecięty trapez latawca na  
sznurku z metką, co wpadł w płamę herbaty, oko cyklonu.

Przywieszka na drugim końcu linki. To tu zostawiasz  
odcisk kciuka, i już wysyłasz raporty, infa, dane, cynki,  
niusy. Prosto do bazy, do wielkiego brata, który czuwa. Na  
kartoniku tylko z jednej strony prawdziwy Captain Tea.

Z drugiej – granatowe logo z żółtą literą f na niebieskim tle.  
Mamy cię! Jesteś w tajnej księdze twarzy, wizerunków.  
Możemy wznosić nową modlitwę, nową pieśń:  
i po fejsie nas poznać.

## **Wiosna. Sad wiosną. Transformers**

Różnie się zaczyna. Czasem w długotrwałym przymierzu:  
tu nachalny, paschalny fiolet krokusów, obok obcięty  
wierzchołek Mont Blanc topniejący na trawniku;  
tu już narcyzy, żonkile, obok jeszcze śnieżne fraktale

i w lodzie lusterka kałuż. Ale nasze spotkanie nieuniknione.  
Zaczyna się wykluwać w dłoniach, porannych kawach,  
papierosach na nocnym stoliku. A potem jest już blisko.  
A potem pąki już nawiedzone, pełne boskich inspiracji,

coraz bardziej zuchwałe. A my nasze „potem” trochę znamy,  
trochę wymyślamy. Więc będziemy stać, jak nowożeńcy,  
oblubieńcy, hipnotycznie, jak dzieci, zadzierając głowy.  
Stać będziemy w baldachimach, wieńcach, w koronkowych

koronach, w najpiękniejszym deszczu świata – w deszczu  
wiosennych płatków opadających z owocowych drzew dobrego.





XXVII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

---

# Paulina Cedlerska

godło „woda\_sodowa”

---

**WYRÓŻNIENIE w dziedzinie poezji**

## **Paulina Cedlerska**

Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Mieszka na Mazurach. Na co dzień pracuje w marketingu.

## ujście

w tym miejscu pociąg kończy bieg  
a polna droga rozszerza się w stronę lasu  
obiecaliśmy stałą styczność na poziomie skóry  
wytykali nas palcami a my wykrwawialiśmy  
przez błony przedsiionki i włókna ciecz symulującą  
uczucie wrażeń czasu miejsca  
na przekór całej wsi i reszcie

*płyniemy szukając ujścia*

*płoniemy do żywego*

## **jęczmień**

to co dobre nie tonie więc tutaj  
zmarłych przed pochówkiem wrzuca się do wody  
później stoimy w kolejce po ser i masło  
podporządkowani lokalnym cyklom  
w każdy czwarty dzień miesiąca po zmroku  
mężczyźni mogą dotykać bezgrzesznych kobiet  
rozprasząc myśli o rzęsie porastającej jezioro  
oddech rozbrzmiewa w rytm słów

*gorzko gorzko*

\*\*\*

zastanawialiśmy się w którym miejscu ucho zmienia się w szyję  
dotykaliśmy grubej skóry dla pewności że ten dylemat  
istnieje tylko w naszych głowach  
obok pojawiali się i znikali ludzie na dowód słuszności  
każdego niepokoju który przechodził nam przez myśli  
powstrzymanie procesu przekazywania ciepła  
pomiędzy sąsiadującymi obiektami o różnej temperaturze  
nie jest możliwe

domy są pełne zimna domy są pełne ciała  
nie znajdujemy odpowiedzi na pytanie gdzie to się zaczęło

## **zwykle nie robimy sobie zdjęć z kapliczkami**

dziewczyna w białej bluzce pozowała na tle lasu  
mieszkańcy przypatrywali się jej przez palce  
które wcześniej dźwigały nagie ciała mężów i żon  
utworzono relację - *dodano do wyróżnionych*  
kapliczka ciężkim zapachem  
przypominała w jakim celu zebrała procesja  
próbowaliśmy zatrzymać ciąg dalszy  
modlitwami recytowanymi na kolanach  
moczonych w mokrej ziemi

## przeplływ

w nocy sąsiedzi wynoszą stare meble  
schowani przed wścibskimi spojrzeniami  
pozbywają się pamiątek po dziecku które umarło  
blok oddaje ciepło po upalnym sierpniu  
Mars płytko zawieszony nad oknem  
przypomina o tym że wszystko co ważne  
jest daleko poza zasięgiem wzroku  
stoimy w ciszy bojąc się że każdy dźwięk będzie potwierdzeniem  
tego że tamta śmierć wydarzyła się naprawdę  
potem zamykamy szczelnie okna  
nago szukamy w sobie nawzajem dowodów życia



XXVII Konkurs literacki

# Krajobrazy Słowa

---

## Dorota Nowak

Godło „Amulet”

---

### WYRÓŻNIENIE w dziedzinie poezji

#### Dorota Nowak

Absolwentka Politechniki Poznańskiej oraz studiów podyplomowych z zakresu psychologii, matematyki, rachunkowości i finansów. Autorka trzech tomów poetyckich: na dwa 2014, opium 2015, antidotum 2017. Laureatka wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich, między innymi nagrodzona za tom na dwa w konkursie na Książkowy Debiut Poetycki w 2014 r. w ramach Nocy Poezji w Krakowie, laureatka ogólnopolskiego konkursu O *Laur Czerwonej Róży* w 2016 r. Projekt jej książki zarzewie otrzymał Grand Prix w II Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim O *Złotą Pszczolę* 2019 i książka została wydana drukiem w listopadzie tego roku. Publikowała w kilkudziesięciu antologiach i wielu pismach literackich: *Akant*, *Migotania*, *Okolica Poetów*, *Krajobrazy Kultury*, *Protokół Kulturalny*, *Radostowa*.

## modlitwa

w pierwszych słowach mojego wiersza donoszę ci mamie  
że pies sąsiadów znów ujadł w nocy biegał po ogrodzie  
jakby świat kręcił się wokół kości i budy – od dawna  
podejrzewam go o podsłuchiwanie ludzkich rozmów

spadła kolejna dachówka kot pod drzwiami zostawił  
nowe zadrapania liście pokryły trawę – cierpliwie  
zbieram ślady życia i śmierci mówią że to naturalna  
kolej rzeczy że krew dopóki jest czerwona niesie tlen

a ja bym chciała poczuć twoje ciepło opowiedzieć  
o kolorach zamknąć w dłoni twoją dłoń nucić  
piosenki o miłości sprawdzić działanie telefonu  
na wypadek gdybyśmy chciały usłyszeć nasze głosy



## **stan doraźny**

nie można tak po prostu zbierać liści  
zachwycać się ich krwistą czerwienią  
cieszyć trwałością unerwień

stygające jezioro pachnie trzcina  
i tatarakiem przenosi wilgoć na psią  
sierść a z niej na naszą skórę

zimno przedziera się przez puchate  
okrycia – obejmujesz mnie ramieniem  
przekonujesz że to stan przejściowy

## **insomnia**

od tego są bezsenne noce  
srebrzyste poświaty a po nich blask  
by o świcie roztopiać kryształki soli  
i cukru mieszać wodę z krwią

siwe włosy pobłyskują w słońcu  
nie poddają się mrozom – paradoksalnie  
to właśnie wtedy tężeje nadmiar światła  
pęcznieją iskry unoszą się przenoszą

widok gasnących ogników  
zatrzymuje ciepło w nas

## **zmiany**

obserwuję sposób w jaki mi ciebie zabiera  
a ty podświadomie pozwalasz na to porzucasz mnie  
powoli z twoim odejściem nadchodzi jesień

pamiętam soczystą zieleń gdy w upalną noc  
wracaliśmy do siebie odurzeni twórczymi słowami  
poetów o rozszczepieniu miłości do ludzi

wtedy głosy powtarzały bym nie uzależniała się  
od soczystości żywicy z przeszczepionych drzew  
i znów tylko na chwilę – ogień deszcz ty

## październik

wilgoć we włosach  
mocny zapach ziemi –  
po raz pierwszy zapalę znicze  
bez ciebie

mamo